Nr. 6. Warszawa, dnia 10 Lutego (29 Stycznia) 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10.**

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

UKŁAD RUSKO-NIEMIECKI.

Układ tedy rusko-niemiecki w sprawie taryfy celnej został przez delegatów obu państw podpisany. Ażeby wszedł w życie, potrzeba mu jeszcze ostatecznego potwierdzenia władz prawodawczych. Potwierdzenie to ze strony Rosyi nie ulega żadnej wątpliwości, gdyż jej wysłańcy byli pełnomocnikami rządu, działali według jego zleceń i zgodzili się tylko na to, na co on się zgodził, a on jest zarazem źródłem praw. Co innego w Niemczech. Umowa dla nabrania mocy musi przejść przez Radę związkową, która jej zapewne sprzeciwiać się nie będzie, i przez sejm, w którym dotąd wrą przeciw niej zawzięte gniewy. Naturalnie najbardziej srożą się rolnicy, wypełniający swoimi przedstawicielami dwa najliczniejsze stronnictwa — konserwatystów i ultramontanów (centrum). Nie znamy dotychczas w całkowitem brzmieniu nowej taryfy, gdyż do chwili obecnej (czwartek) telegraf przyniósł nam zaledwie szczupłą wiązankę zniżek opłaty celnej dla niektórych produktów, przywożonych z Niemiec do Rosyi. Ze zniżek tych skorzystają: futra, chmiel, płyty posadzkowe, węgiel kamienny, wytwory chemiczne i aptekarskie, materyały farbiarskie, wyroby złote, zegary, maszyny rolnicze, wełna, aksamit, wyroby jedwabne itd. Natomiast ów troskliwy o interesy niemieckie telegraf przemilczał o tem zupełnie, jakie ulgi otrzymała w zamian Rosya, czyli jaki ciężar zdjęty został z jej wywozu. Niepodobna jednak wątpić, że zboże — ten główny nasz produkt wywozowy — nie będzie miało, jak dotychczas, zamkniętej granicy zachodniej. Że w tym względzie nastąpi radykalna zmiana, wnosić można zarówno z logiki położenia i stosunku interesów obu państw, jako też z ciągłej wojny rolników niemieckich przeciw traktatowi. Dziś, nie znając go dokładnie i zanim on został ostatecznie przyjęty, nie możemy go oceniać ze stanowiska polityczno-ekonomicznego, zwłaszcza że jest to sprawa zbyt wielkiej wagi, ażeby dała się rozstrzygnąć pospiesznym sądem. Powrócimy więc do niej we właściwej porze. Teraz chcemy tylko rozważyć warunki, w jakich ona się znajduje i drogę, jaką ma jeszcze do przebycia.

Chociaż samolubstwo ziemian niemieckich jest w tym wypadku niezaprzeczone, nie ulega wątpliwości, że interesy ich w ostatnich latach znacznie ucierpiały. Rolnictwo w Niemczech — jak zresztą w całej prawie Europie — nie daje już dawnej renty i pokonane współzawodnictwem Ameryki, często staje nad brzegiem przepaści. Opór więc gospodarzy rolnych przeciw nowej taryfie ma tam swoje poważne racye. Tak zwani „agraryusze“ stanowią przytem w sejmie bardzo liczny zastęp, który działając solidarnie, może własnemi siłami utrudnić a nawet udaremnić wszelkie przeciwne im zamiary. Pomimo to jesteśmy przekonani, że oni poddadzą się konieczności, na którą złoży się wiele względów. Naprzód upośledzone i nadwyrężone interesy innych klas społecznych. Wojna celna z Rosyą zadała śmiertelne ciosy przemysłowi niemieckiemu. Nie wzywając na świadectwo cyfr, pomyślmy tylko, jakie „zatkanie“ handlowe nastąpić musiało w państwie tak wytwórczem, jak Niemcy, po zamknięciu im tak olbrzymiego rynku, jak Rosya. Wszakże tam istniało niepoliczone mnóstwo fabryk i przedsiębiorstw, które bądź w znacznej części, bądź wyłącznie żyły z tego rynku. To też po podwyższeniu taryfy, równającemu się zupełnemu zamknięciu granicy dla towarów niemieckich, owe fabryki i przedsiębiorstwa zaczęły gromadami upadać lub zawieszać swe czynności. Na tym zastoju ucierpieli nietylko bogaci przemysłowcy, ale tłumy ich najmitów wszelakiego stopnia oraz pośredników handlowych. Robotnicy, oficyaliści, kupcy, agenci — a jest ich legion—postradali chleb całkowicie lub częściowo. O ile rolnicy krzyczą w niebogłosy przeciwko traktatom celnym, a zwłaszcza przeciw umowie z Rosyą, która ich zasypie zbożem, o tyle ludność robocza i miejska wygląda tych układów jak zbawienia. Z tem pragnieniem ziemianie liczyć się muszą.

Nie mogą oni również skompromitować swojego rządu, który w osobach cesarza i kanclerza zaangażował się bardzo daleko. W przemówieniach uroczystych i rozmowach prywatnych Wilhelm II przedstawił traktat z Rosyą jako coś, co według niego leżeć powinno po za wszelką różnicą zdań. Zaledwie przed paru dniami jeszcze na wieczorze u kanclerza dowodził posłom w długich rozumowaniach, że ani on, ani wogóle państwo nie może obejść tej konieczności i że poddanie się jej jest patryotycznym obowiązkiem. Czyż więc konserwatyści, podpory tronu, odważą się na tak ostrą sprzeczność z poglądami monarchy?

Nawet obrady sejmowe nic nie zmienią w umowie. Wyobraźmy sobie bowiem, że partya rolników wprowadzi do niej jakieś poprawki. Znowu tedy one muszą być poddane uznaniu rządu ruskiego, znowu powędrują do sejmu i Rady związkowej— i cała sprawa przeciągnie się w nieokreśloną dal, a tymczasem każdy dzień zwłoki dusić będzie ledwie oddychający przemysł i handel. Obu tym usychającym ga-

łęziom dotychczasowy zatarg już wydaje się wiecznością — a cóż dopiero gdyby miały czekać jeszcze dłużej!

Według więc naszego mniemania, traktat handlowy z Rosyą będzie przyjęty, zachodzi tylko pytanie, kiedy on zniesie zapory. Nasi ziemianie wbrew niemieckim pragną, ażeby to się stało jak najprędzej, a nasi przemysłowcy, również wbrew niemieckim, ażeby jak najpóźniej.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Każde stronnictwo polityczne może mieć w swym programie rozmaite wyrazy, ale treść ich pozostaje zawsze jedna — interes. Chociaż więc torysowie angielscy prawią o konserwatyzmie, nierozdzielności państwa itd., gotowi oni są i do postępu, i do federacyi, i do wszystkiego, czego się w słowach wypierają, jeżeli to tylko zapewni im jakąś korzyść, którą zawsze daje władza. Gdy Izba wyższa odrzuciła bil irlandzki Gladstone'a, odrzucili go, rozumie się, torysowie. Tymczasem, według ostatnich doniesień rozpoczęli oni targ z irlandczykami, których chcą przeciągnąć na swoją stronę za cenę tych samych obietnic, co ich przeciwnicy. Wtedy whigowie, którzy bez owych sprzymierzeńców nie posiadaliby większości, musieliby ustąpić. Zresztą od obietnicy do spełnienia jej — zwłaszcza w kraju żółwich chodów, jakim jest Anglia — jeszcze bardzo daleko. Po zjednaniu sobie posłów irlandzkich lord Salisbury zacząłby z nimi układy, potem opracowanoby projekt, potem obradowanoby nad nim w dwu Izbach, potem jedna lub druga odrzuciłaby go — w rezultacie pozostałaby dla naiwnych figa, a tymczasem zręczni gracze trzymaliby rządy w swych rękach.

Przez kilka dni zanosiło się na drugie, poprawione i uzupełnione wydanie Panamy. Reporterowi *Figara* ciągle umierający i ciągle cieszący się niezłem zdrowiem pod opieką Anglii Herz oświadczył, że posiada „dokumenty,“ których ogłoszenie wywołałoby taką burzę, iż przy niej poprzednia wyglądałaby jak lekkie powiewy zefiru. Dla czegóż ten Jowisz skandalu tak długo kryje swoje gromy? Po prostu dlatego, że Towarzystwo kanału panamskiego wytoczyło mu proces o zwrot łupu a on tym sposobem chce wywrzeć nacisk na sędziów i opinię publiczną. Ta ostatnia rzeczywiście przeraziła się. Kilka dzienników paryskich wyraziło radę, ażeby osobna komisya udała się do Herza, wzięła od niego dokumenty i skręciła łeb ostatecznie całej tej obrzydłej sprawie. Wkrótce jednak spostrzeżono się, że strach jest słomiany.

Król dahomejski zdał się na łaskę zwycięzców, ma być przez nich gdzieś wywieziony i osadzony na przymusowej emeryturze z pensyą 20,000 fr. Tron oddany zostanie jego krewniakowi.

„Burzyciel ministeryów,“ dr. Clemenceau, nie mogąc po utracie mandatu, sprowadzać na rząd katastrof w Izbie, podminowywa go w swym dzienniku *Justice*. Wystąpił naprzód z szeregiem oskarżeń przeciwko nieporządkom i nadużyciom w ministeryum marynarki, a gdy to nie pomogło, zabrał się teraz do ministeryum komunikacyi. Według niego Francya posiada o 6,000 lokomotyw, 9,000 wagonów osobowych i 80,000 towarowych mniej, niż Niemcy. Byłoby to może groźne, gdyby było prawdziwe.

Sprawca zamachu w Izbie francuskiej, pomimo starań o ułaskawienie go, został stracony.

Radykałowie serbscy zapowiadają coraz gwałtowniejszy opór, atakując namiętnie Milana, którego obrzucają wszelkiemi obelgami. Prezes gabinetu, Siemlicz, udaje, że te objawy lekceważy. Rozesłał on do mocarstw okólnik, w którym zapewnia, że kraj jest zupełnie spokojny. Gazety przyjazne rządowi twierdzą, że król musiał uciec się do energicznego kroku, gdyż przekonał się, że radykałowie dążą do usunięcia obecnej dynastyi i sprawdzenia Karageorgiewiczów.

W dalszym ciągu stosunki brazylijskie tak się wikłają, że niepodobna odgadnąć, która ze stron wojujących ma zasadniejszą nadzieję zwycięstwa. Obie bowiem kłamią, co tylko się zmieści w telegraf i prasę.

Crispi utrzymuje, że już skończył ciężką robotę zaspokojenia kraju i że teraz może przystąpić do reform wewnętrznych.

BADANIA NAUKOWE.

BUDOWA UKŁADU NERWOWEGO
W ŚWIETLE NOWSZYCH BADAŃ.

(Dokończenie).

Ostatnimi atoli czasy wprowadzono pewne nowe metody do odnośnych badań, które pozwoliły wykryć takie szczegóły, o jakich dotąd nie mieliśmy pojęcia. Jedną z tych metod zawdzięczamy uczonemu niemieckiemu, prof. Ehrlichowi, który wykazał, że przez zastrzyknięcie żywemu zwierzęciu do krwi słabego roztworu barwnika niebieskawego, zwanego błękitem metylenowym, otrzymujemy po pewnym czasie błękitne zabarwienie komórek włókien nerwowych, a zwłaszcza zakończeń tych ostatnich, podczas gdy sąsiednie części pozostają niezabarwione. Metoda ta pozwoliła z największą dokładnością rozpoznać w bardzo wielu wypadkach zakończenia nerwowe, których inną drogą w danych organach wykryć nie zdołano; okazała ona między innemi, że w bardzo wielu narządach zmysłowych włókna czuciowe kończą się zupełnie swobodnie i nie zawsze zakończone są komórkami, jak to dotąd ogólnie przyjmowano. Ale jeszcze ważniejszą od Ehrlichowskiej była metoda, wprowadzona przez znakomitego badacza włoskiego, prof. Tolgiego, ulepszona przez Ramon y Cajala z Barcelony. Polega ona w krótkości na tem, że części mózgu lub mlecza, osobliwie ze zwierząt młodych, traktujemy solami chromowemi, a następnie azotanem srebra, przyczem tak w komórkach nerwowych, jako też we włóknach tworzą się niezmiernie delikatne osady srebra, wskutek czego komórki i włókna przedstawiają się pod mikroskopem jako bru-

---

3)

ODPOWIEDŹ,

przez

LASSOTĘ.

Wcześnie straciłam swobodę i naturalność właciwą dzieciom. Zaczęłam pozować, bawić się w paradoksy i aforyzmy itd. Miny dziwaczne, ruchy nienaturalne podobały się początkowo, lecz, gdy obcy ludzie je zganili, zażądano kategorycznie naturalności i prostoty. W ósmym roku poszłam na pensyę, tam wytworzyło się powoli to samo przekonanie, co i w domu: może, tylko nie chce. Litościwsze nauczycielki żałowały wprawdzie maleństwa, ale większość wymagała dużo. Przełożona stosowała do mnie szumne oracye o marnujących się zdolnościach. Pierwsze czasy szczególniej były pamiętne. Dzieciak zdolny i dosyć pilny, lecz nerwowy i nieprzyzwyczajony do rutyny szkolnej, długo nie mógł zastosować się do nowych warunków. Każde pytanie odbierało przytomność umysłu i sprawiało rodzaj nerwowej gorączki. Posypały się stopnie mierne, co wywołało łzy matki i majestatyczne obrażone tony ojca. Tyle spodziewali się po mnie. Trzeba było koniecznie coś dać tym ludziom, bodaj najlichszy pozór, aby nie mordowali mnie i siebie. Dawałam im błękitne i czerwone książeczki; otrzymywałam wzamian życzenia i uściski. Przystosowałam się do otoczenia szkolnego, szło mi coraz lepiej. Profesorowie, przyzwyczajeni do normalnych dzieci, wyłamujących się z więzów szkolarskiej mądrości, nieuważnych i ruchliwych, patrzyli na mnie, jako na niezwykłe, dodatnie zjawisko.

— Zawsze uważna i zawsze wzorowa, dziwili się. Zkąd ci ludzie mogli wiedzieć, że ten dzieciak stopniami musiał podniecać rodzicielską miłość.

Sami dolewali oliwy do ognia.

— Stanowczo pani masz talent, powiedział raz nauczyciel literatury po przeczytaniu mego ćwiczenia.

Innym razem nazwał mnie potęgą umysłową.

Te dowody taktu pedagogicznego sprowadzały smutne następstwa: czternastoletnia pani dostawała febry z przejęcia, zdawało się jej wtedy, że patrzy na nią cała Europa, czterdzieści wieków z piramid egipskich. Na popisach grałam i deklamowałam. Ojciec promieniał, matka popłakiwała, a przełożona z rozczuleniem układała usta w podkowę. Po tych występach czułam drganie w całem ciele, ogień w oczach, a szum w uszach.

Śród koleżanek budziłam, czy ja wiem, co właściwie? Nie chcę badać dzisiaj wszystkich składników uczuć, zwanych ryczałtem przyjaźnią, wiem, że tam były: podejrzliwość, czułość, ataki poświęcenia, wyrzuty, akty subtelnego psychologicznego współczucia, zazdrość, despotyzm, gryzienie sercem, gryzienie zębami. Znosiłam za młodu chętnie te kwasy i niedokwasy, bo mi je wynagradzały wylewy tkliwości i skruchy. Paroksyzmy przyjaźni urozmaiciły w niższych klasach wyznania miłości, w wyższych — ateistyczna propaganda oraz ciemne społeczne aspiracye. Czytałam wówczas dużo, wiedzą swą olśniewałam koleżanki. Były między niemi bystrzejsze ode mnie, ale żadna nie miała dyskretnego umysłowego taktu, zbyt się zapędzały w swych dowodzeniach. W ostatniej klasie i w rok po skończeniu stałam się lepszą. Serdeczne ludzkie uczucia obudziły się we mnie z całą siłą. Myśl pierwej skierowana ku abstrakcyjnym zagadnieniom zatrzymywała się uparcie nad zjawiskami życia. Serce odczuwało jego rany i bóle.

Współczucie dla ludzi, głębokie i tkliwe, pchało mnie do czynów, a nieznajomość dróg, ni środków wiązała mi ręce. Zaczęło się szamotanie niedołężne, chwytanie półśrodków, nieodłączne zawody i poczucie bezsilności. Instynktownie ukrywałam przed moimi te uczucia i wewnętrzne walki. Wkrótce tajemnicę odkryto. Policzono wszystko na karb filantropii i poczciwego panieńskiego serduszka. Zaczęło się kiwanie głowami, dawanie rad, przestróg, wyrażanie uznania; w chaosie różnorodnych wykrzykników słyszałam często: „a!“ „a!“ W tym „a“ była aprobacya, było uznanie, że dobre serce ładnie wygląda. Życie samo już mi dowiodło bezowocności usiłowań moich, ciężko jednak, gdy rozbierają pu-

natne lub czarne twory. Przy tej metodzie czernią się, jak powiedzieliśmy, nietylko komórki, ale w równej mierze i włókna nerwowe, przyczem najdelikatniejsze i przy innych metodach niedostrzegalne włókienka występują tu z jak największą wyrazistością. Preparaty otrzymywane tą metodą odznaczają się taką elegancyą, że patrzącemu przez mikroskop zdaje się, jakoby spoglądał na rysunek najdelikatniejszem piórkiem i z największą dokładnością przedstawiony. Tą metodą udało się też dlatego dokładnie zbadać stosunek wzajemny dróg czuciowych i ruchowych w ośrodkach nerwowych. Na padstawie badań całego szeregu wybitnych uczonych, jak Ramon y Cajala, Lehnosseka, Retziusa i innych wiemy dzisiaj, że połączenie dróg czuciowych i ruchowych przedstawia się w sposób następujący:

Włókno ruchowe, wychodzące z ośrodka, bierze początek, jako t. z. cylinder osiowy z komórki nerwowej, przyczem większość komórek daje oprócz tego głównego włókna jeszcze pewną ilość mniejszych, drzewiasto rozgałęziających się wyrostków, t. zw. dendritów, które mają, być może, tylko odżywcze znaczenie dla komórki i w każdym razie swobodnie się kończą. Włókna czuciowe, wstępujące do ośrodka, nie są w połączeniu z komórkami (ani w mleczu, ani w mózgu), lecz ośrodkowy koniec każdego z nich dzieli się po wstąpieniu do mlecza naprzód na dwie odnogi: wstępującą i zstępującą, z których każda daje w pewnych odstępach delikatne gałązki boczne (t. zw. collateralia), wchodzące do substancyi szarej, podczas gdy dwie główne odnogi ciągną się w białej substancyi mlecza; górna odnoga dochodzi zdaje się do mózgu, podczas gdy dolna wyczerpuje się w miarę, jak wysyła gałązki boczne. Pojedyncze gałązki boczne, wstępujące do substancyi szarej, tworzą na końcach swoich nader delikatne sploty, *otaczające dokoła komórki ruchowe, lecz z niemi się niełączące.*

Dawniej mniemano, że pomiędzy elementami czuciowymi i ruchowymi istnieje ciągłość materyalna za pośrednictwem komórek i ich włókien. Sądzono, że bodziec przenosi się po włóknach z komórek czuciowych na ruchowe, że drogi nerwowe nie są nigdzie przerwane, podobnie jak nie jest przerwanym drut, po którym przenosi się elektryczność przy urządzeniach telegraficznych. Obecnie atoli ściśle i dokładne spostrzeżenia wykazały, że pozostajemy pod tym względem w grubym błędzie, że drogi czuciowo-ruchowe nie są nieprzerwanym szlakiem, lecz że przeciwnie, składają się jakby z dwóch samodzielnych łuków, t. zw. neuronów, które nie są z sobą połączone, lecz tylko końcami swymi ośrodkowymi jakby przylegają do siebie, że bodźce dochodzące do ośrodków po łuku czuciowym działają z odległości na centralne części łuku ruchomego, wzbudzając w nich jak gdyby przez indukcyę prąd ruchowy.

W najprostszych wypadkach, a mianowicie przy mechanizmach odruchowych w mleczu widzieliśmy dwa neurony, dwie jakby jednostki nerwowe, luźno z sobą związane: jeden neuron stanowi komórka zmysłowa np. skóry wraz z włóknem czuciowem, jego „collateraliami" i splotami rozgałęzień końcowych wewnątrz rdzenia — drugi zaś neuron tworzą komórki ruchowe rdzenia, otoczone przez owe sploty oraz włókna ruchowe, z komórek tych wychodzące i dążące do odpowiednich mięśni. W wyższych organach nerwowych komplikują się te stosunki dlatego, że nie istnieją dwa ogniwa neuronów, lecz większa ich ilość, przyczem każdy neuron przedstawia komórkę i jej włókno, tworzące splot końcowy i każde dwa sąsiednie neurony zachowują się tak, jak neuron czuciowy i ruchowy w rdzeniu, tj. nie łączą się z sobą materyalnie, lecz splot końcowy jednego neuronu otacza mniej lub więcej luźno komórkę drugiego i pobudzenia przebiegają po drogach przerywanych, przeskakują jakby z jednego neuronu na drugi po przez bezkształtne i nieorganizowane substancye, które wypełniają przestrzeń pomiędzy splotami włókien a otoczonemi przez nie komórkami. Widzimy to np. w drogach, wiodących od wyższych zmysłów (ucha, oka itd.) do odpowiednich okolic mózgu.

Z powyższego wynika, że związek elementów nerwowych jest niezwykle luźny, albowiem pojedyncze jednostki (neurony) są wszędzie niezawisłe od siebie i nie połączone w całości jednociągłe.

„Dawniej — powiada Ilis — lubiano porównywać mózg, rdzeń pacierzowy i nerwy jako całość z bogato rozgałęzionym układem telegraficznym, w którym włókna nerwowe funkcyonują jako druty przewodzące, komórki nerwowe zaś—jako stacye końcowe i pośrednie. Dziś nie możemy ściśle przyjmować takiego porównania, ponieważ wiemy, iż system nerwowy nie ma charakteru czegoś zamkniętego, co z konieczności właściwe być musi pracującemu układowi telegraficznemu. Odpowiedniejsze byłoby porównanie z rządami w wielkim kraju, gdzie liczni urzędnicy podlegają jedni drugim. Urząd miejscowy posyła w danym wypadku depeszę do instytucyi wyższej, której jest podporządkowany, żądając rozkazów; lecz odpowiedź nie następuje przez proste odwrócenie sprawodnictwa, lecz jest wynikiem specyalnej pracy w obrębie wyższego urzędu. Urzędy wyższe, średnie i niższe posiadają mniej lub więcej obszerne biura z urzędnikami różnego stopnia. Przeobrażenie otrzymanej wiadomości na rozkaz łączy się z różnemi czynnościami dodatkowemi, z protokółowaniem, z porównywaniem obecnego wypadku z poprzednimi itd. Na ostateczny rezultat decyzyi wpływają: zgodność odpowiednich urzędów, uprzednie lub jednoczesne polecenia wyższych urzędów itd. itd."

Badania zatem dzisiejsze pokazują, że w układzie nerwowym nie ma takiej ciągłości, jak dotąd przypuszczano, że indywidualność oddzielnych jednostek nerwowych jest dosyć znaczna, że czynności nerwowe są przeto o wiele więcej skomplikowane, niż dotąd sądzono. Fakt mniejszej lub większej niezależności neuronów ma doniosłe znaczenie dla zrozumienia czynności fizyologicznych układów nerwowych i pozwoli niewątpliwie zrozumieć liczne zjawiska, które dotąd były dla nas zupełnie ciemnemi.

Dr. H. T. Rozicki.

---

blicznie wygląd lepszej cząstki wewnętrznego życia.

W rok po skończeniu pojechałam na uniwersytet. Okoliczności złożyły się tak, że odrazu wpadłam w jakiś śmietnik wielkich słów, małych dusz, nizkich ambicyj i ciasnych zazdrości. Wśród ludzi, upajających się haszyszem własnej wymowy, nauczyłam się blagi społecznej: odtąd uprawiałam indywidualną. Przekonałam się wkrótce, że dla zdobycia uznania, nie trzeba, ani uczyć się, ani pracować, tylko wyćwiczyć język, aby wygłaszał dobrze dźwięczące słowa, wyćwiczyć słuch i powonienie, aby za najlżejszym powiewem, za najsłabszem echem zwinąć chorągiewkę. Ostatni manewr nazywa się „rozszerzaniem poglądów." Pozornie drwią z powag, a tańczą przed niemi służalczo; czczą je, a bacznie szukają skaz. Jeśli znajdzie się skaza, to ogłasza się dawnego boga za gasnące słońce. Zaczyna się poszukiwanie nowego Apisa; z dawnym obchodzą się tak, jak ów osioł w bajce ze starym schorowanym lwem.

A ten połów na wrażenia! Poznałam się dość wcześnie na okrutnej ludzkiej ciekawości, ciekawości bezmyślnej... nie, nie bezmyślnej, bo ukrywającej prawie zawsze chęć nakręcania podług swej woli sprężyn cudzej duszy. Poznać pragnę! — brzmi to niewinnie. W tym celu podchodzą do człowieka, zaglądają w głąb duszy i mówią: „ach, to tylko to."

Następuje potem obojętność — zaspokojenie. Wiedzą już, jak należy mieszać w tym mózgu. Zrozumiałam, że trzeba się bronić, kryć z wewnętrzną treścią tem staranniej, im goręcej poznać ją pragną. Owo poznanie groziło zamachem na moje ja, przerobieniem na swe narzędzie. Rola kobiety — narzędzia!.. garść pakuł do zatykania przeróżnych szpar. W nagrodę za pracę niewdzięczną i brzydką otrzymuje trochę kpin, jakiś stopień w specyalnej hierarchii, słyszy ton dobrotliwie klepiący po duszy. Przy malowaniu tych stosunków wściekają mi się barwy na palecie. Trudno, tak wiele im zawdzięczam, że trudno pozostać bezstronną. Po kilku latach wróciłam do kraju zupełnie „wyrobiona." Trafiłam na innych ludzi: trochę poczciwców, trochę gadulskich, lecz na uczciwych. Ci odrazu przyszli do wniosku, żem głęboka, jak studnia i szeroka, jak brama. Jak to powiedzieć ludziom: nie spodziewajcie się po mnie wielkiej rzeczy, bo zapał mój ostygł, a serce zwiędło. Nie umiałam się zdobyć na taki heroizm. Wolałam chodzić na szczudłach, przemawiać, jak pytya, lukrować myśl każdą w przedziwne desenie. Byłam kokietką także, nie taką zwyczajną strojnisią, przewracającą oczami, byłam kokietką w gładkiej sukni, z gładko uczesanymi włosami, pełną prostoty w mowie i ruchach... stosownie do wymagań. Od czegóż wyrobienie? Ta prostota nie przeszkadzała pamiętać w chwilach zapału o fałdach płaszcza, widzieć niemą grę twarzy, świadczącą, że ów zapał ładnie wygląda. Hołdy, składane w takiej chwili ładnej kobiecie, sprawiały mi przykrość dawniej onego czasu, kiedy lew drzemał. To dziwne, że ja, komedyantka, opętana od dzieciństwa manią wielkości, kryłam dość długo błyski prawdy. W czadzie, w gwarze płynęło życie i pełne, i próżne, i czynne i bezowocne, ideowe, a przesiąkłe fałszem. Fałszem jest prawda, jeśli jest wygłaszana bezdusznie, jako niezbędna ozdoba dla ludzkich oczu, czy tam uszu. Przestałam pracować umysłowo, zjałowiałam śród gadaniny, a ludzie otaczający szli naprzód. Z bólem widziałam coraz więcej takich, co wyżej stali ode mnie. Dzięki rutynie tylko zachowałam znaczenie. Bałam się tych wyższych. Trzeba było uciekać się do nieuchwytności, aby nie podlegać operacyi mieszania w mózgu.

Teraz jeszcze o jednej stronie życia. W szczegóły wdawać się nie będę: pozostało mi coś w rodzaju dziewictwa duszy, które nie pozwalało obnażać pewnych uczuć, nawet w paroksyzmie otwartości. Szukałam zapomnienia. Mężczyźni je znajdują w morfinie, w absyncie, w miłości, kobiety prawie zawsze w miłości. Nałóg ten rozwijają w nas od dzieciństwa śpiewem, muzyką, książkami, zabawami, Bóg wie nie czem. Potem przyduszają go zasadami moralnemi, ustawami społecznemi. Zbyt tchórzliwe i zabobonne, żeby wyłamać się z pod jarzma zasad, znajdujemy „godziwe" ujście w grze wyobraźni, nerwów, w niedomówionych słowach, spojrzeniach. I po i w czasie takich komedyj odczuwa się nędzę swoją. Największa kokietka jest taką nędzarką, taką ofiarą, że szala jej nieszczęść przeważa szalę jej winy. Raz kłamią, wiedząc, że kłamią, sto razy oszukują same siebie. Zapomnienie chwilowe, długi

ZMIANY SZEROKOŚCI GEOGRAFICZNEJ
i wędrówka bieguna *).

Już Euler uznawał na podstawach teoretycznych konieczność zmian położenia osi ziemskiej pod wpływem przemieszczenia materyałów wchodzących w skład kuli ziemskiej. Dalej Bessel, który już w roku 1818 ogłosił artykuł o „wpływie zmian bryły ziemskiej na wysokość bieguna,“ pisał 1844 r. w liście do Humboldta: „mam podejrzenie co do niezmienności wysokości bieguna... mam tutaj na myśli wewnętrzne zmiany bryły ziemskiej, które wywierają wpływ na kierunek siły ciężkości.“ W trzydzieści lat po Besslu znakomici geofizycy angielscy, W. Thomson i G. H. Darwin, zajęli się szczegółowem zbadaniem, jaki wpływ wywiera przeniesienie mas na powierzchni ziemi na położenie jej osi wirowania. Jeszcze ważniejszą jest późniejsza praca Schiaparellego („De la rotation de la terre sous l'influence das actions geologiques,“ 1889), który rozbiera tę kwestyę pod trzema możliwymi warunkami: ziemi absolutnie twardej, ziemi o cząstkach z łatwą przesuwalnością, które się natychmiast przystosowują do nowego kształtu bryły i nowego rozkładu sił, i nakoniec trzeci przypadek, będący pośrodku: gdy cząstki mogą się wprawdzie przystosować, ale nie zaraz, lecz wtedy dopiero, gdy prężności wynikłe z przeciwieństwa między nowym kształtem i rozkładem sił osiągną pewien stopień natężenia **).

Ponieważ roztrząsania teoretyczne wykazały, że zjawiska te mogą być dostrzegalne za pomocą dzisiejszych udoskonalonych środków obserwacyi, więc zajęto się praktyczną stroną tej kwestyi. Küstner, obserwator berliński (obecnie dyrektor obserwatoryum w Bonn), pierwszy otrzymał rezultat pomyślny: na wiosnę 1885 r. wysokość bieguna (czyli szerokość geograficzna) berlińskiego obserwatoryum okazała się o 0″,2 mniejsza, niż była na wiosnę roku poprzedniego; średni błąd tej różnicy wynosił ±0″,03, tak iż nie można było wątpić o rzeczywistości tej różnicy. Rezultat ten jednak mimo swej rzeczywistości niczego jeszcze nie dowodził w omawianej kwestyi, albowiem mógł pochodzić od peryodycznych zmian refrakcyi (załamania światła w atmosferze) lub od zmian w kierunku pionu (kierunek siły ciężkości). Godną uwagi jednak rzeczą, o której dowiedziano się później, jest to, że i w Pułkowie od roku 1884,7—1885,3 wysokość bieguna zmniejszyła się o 0″,3. Ale cała ta sprawa wtedy dopiero weszła na drogę pewną, gdy zajął się nią prof. Helmert i skłonił w r. 1888 kilku obserwatorów niemieckich do wspólnego mierzenia zmian wysokości bieguna. Wtedy w drugiej połowie 1889 r. okazała się w obserwatoryach Berlina, Poczdamu, Pragi i Strasburga silna zmiana szerokości geograficznej w jednakowym sensie, wynosząca 0″,5. Już wtedy powstało w Niemczech przekonanie, że zmiana ta nie jest lokalną, lecz ogólną, mianowicie, że wynika ze zmian położenia osi ziemskiej; ale w każdym razie nie można było twierdzić tego na pewno, albowiem zjawisko to mogło wyniknąć i z innych przyczyn. Jakże więc rozstrzygnąć tę wątpliwość?

Jeżeli zmiany szerokości geograficznych wynikają rzeczywiście ze zmian osi ziemskiej, tak iż wszystkie punkty powierzchni ziemi są w swych zmianach tej zmianie podległe, to punkty tej samej półkuli, różniące się geograficzną długością o 180°, muszą mieć równocześnie jednakowo liczebnie zmiany szerokości tylko z odwrotnymi znakami; punkty zaś różniące się długością o 180° i leżące na różnych półkulach (północnej i południowej), muszą mieć zmiany jednakowe i co do ilości i co do znaku.

Dla sprawdzenia tego teoretycznego wywodu, Niemcy wysłały w 1891 r. obserwatora do Honolulu, odległego od Berlina prawie na 180° dług. zach. Helmert przy tej sposobności słusznie zauważył, że nawet ujemny rezultat opłaciłby koszty i trudy tej wyprawy, gdyż wobec stwierdzonych zmian szerokości w Europie brak ich w Honolulu wskazywałby, że zmiany europejskie są wynikiem wahań w kierunku pionu, a te znów wynikiem peryodycznych przesunięć mas we wnętrzu ziemi. Obserwacye w Honolulu od 1891—1892 wykazały zupełną zgodność zmian tamtejszych z europejskiemi (krzywa tych zmian w Honolulu jest zupełnem powtórzeniem krzywej europejskiej). A zatem: wahania wysokości bieguna są rzeczywiście wynikiem zmian w położeniu osi wirowania: oś ta opisuje w pewnym peryodzie powierzchnię stożka o małym otworze: wynosi on tylko około 0″,5—0″,6, co odpowiada odległości 15—20 metrów na powierzchni ziemi. Peryod obiegu wynosi według Albrechta 386 dni, według Newcomba 420—430 dni; cyfra ta nie jest jeszcze zupełnie pewna, ale samo zjawisko nie podlega żadnej wątpliwości.

Wprawdzie Bouquet na podstawie swych dostrzeżeń w obserwatoryum paryskiem „nie znalazł żadnego śladu zjawiska, które na innych obserwatoryach dostrzedz miano,“ ale „to dowodzi tylko — mówi Hammer — że te paryskie obserwacye, przy bardzo delikatnych oznaczeniach wysokości bieguna, nie są w stanie dotrzymywać kroku, co wobec skarg niedawno zmarłego Mouchez na niedogodne położenie obserwatoryum paryskiego jest zupełnie zrozumiałe.“ Astronomowie ruscy w Pułkowie oraz amerykańscy zajęli się przejrzeniem dawniejszych oznaczeń wysokości bieguna i tym sposobem stwierdzili tę peryodyczność (około 426-dniową) na kilkadziesiąt lat w tył.

A zatem już od dłuższego czasu w peryodzie około 14 miesięcy $=1\frac{1}{6}$ roku odbywa się ten stożkowy obieg osi wirowania i to tak mianowicie, że dla Niemiec ostatnie maxima wysokości bieguna przypadają na początek października 1891 r. i początek grudnia 1892, ostatnie zaś minima — na początek maja 1892 i początek lipca 1893 r. i że wartości skrajne oddalają się od średniej w obie strony mniej więcej na $\frac{1}{4}$“.

Jeszcze ważniejszem dla geografii i geologii byłoby rozstrzygnięcie pytania o możliwych *wiekowych* zmianach położenia osi wirowania, ale poglądy pod tym względem są jeszcze bardzo niezgodne.

W. N.

*) Ol. H. Hammer: „Die Veränderlichkeit der geographischen Breite“ w *Peterm. Mitt.*, 1893, X.

**) Ob. „Kronika geograficzna za r. 1892“ w *Wiśle*, 1893, VII.

---

niesmak, a wszystko w „godziwych“ granicach. Nie warto rozwodzić się nad temi wspomnieniami, lepiej postawić w tem miejscu krzyż i trupią główkę. Nadszedł czas reakcyi. W duszy wszystko zcichło, zmalało, siły opadły, a sumienie zbudziło się. Ono powiedziało mi: niezdolną jesteś do czynu — usuń się stąd, nie truj młodych serc drapieżną ambicyą, nie darz umysłów błyskotliwą inteligencyą, zwichnęli ciebie, nie pacz innych. Usunęłam się z szeregów popisowych. Wtedy poznałam Ciebie. Chyba to nie fata morgana, lecz miłość prawdziwa. To sentymentalnie brzmi, ale ja zlękłam się Ciebie. Czułam, żeś dla mnie niebezpieczny, że nie mam prawa do Ciebie. Czemu nie uciekłam, póki był czas? Mniej byłoby cierpień. Powstała wielka, nieprzeparta chęć życia. Rezygnacya znikła, bunt zawrzał w duszy. Za fałsze, za miraże życia należy mi się jedno prawdziwe uczucie. Powstawała drapieżna chęć przykucia Ciebie do swojej egzystencyi, bolało przypuszczenie, że możesz uczucie zwrócić ku innej. Jak szczytu rozkoszy, jak najwyższego szczęścia czekałam tej chwili, kiedy mi powiesz „kocham.“ Płakałam z tęsknoty za nią. Pragnęłam otoczyć cię atmosferą miłości, uroku, zapomnieć o wszystkiem, żyć tak rok, dwa, potem umrzeć. Snułam szalone rojenia, których epilogiem była śmierć moja. Nie było innego wyjścia, musiała przyjść chwila katastrofy. Tą katastrofą było zrozumienie, czem jestem.

Jakże razem? Ty z jednej bryły, ja pstry płaszcz błazeński; to gorsze niźli związek „świętego z gęsią.“ Potworność takiego związku rozumiałam, a zapobiedz nie miałam siły. To było uczucie, jakiego przez całe życie pragnęłam: tkliwe, silne i proste. Sądziłam niekiedy, że w chwili wyznania miłości stanie się coś nadzwyczajnego. Spodziewałam się odrodzenia. Tymczasem inaczej: poczułam ukłucie w sercu, zdumienie, pustkę i wstyd. Potem jasna błyskawica rozdarła mózg. Nigdy lepiej nie rozumiałam swego położenia, jak wtedy. Ciągle razem...

Powzięłam zamiar odepchnięcia ostro, gwałtownie. Czułam, że hart mi potrzebny, chciałam mówić stanowczo i twardo. Twoje zarzuty rozbroiły mnie. Strasznie skrzywdziłam Ciebie, najdroższą mi istotę. Hart mój rozpłynął się we łzach. Nie mogłam wtedy mówić z Tobą: łzy i drżenie w głosie osłabiłyby siłę słów. Lepiej powiedzieć prawdę wtedy, kiedy będziesz daleko. Rozumiesz teraz, że nie chcę być kulą u nogi, gangreną w zdrowem ciele, hecarką skaczącą na linie, obawiającą się co chwila skręcenia karku. Szkoda okradać Cię z energii: należysz do rzadkiej rasy — ludzi idei. Mówię Ci prawdę, niech ona stanie jako nieprzeparta przegroda między nami. Spal wszystkie listy, wszystkie fotografie moje zaraz spal, tak będzie lepiej. To będzie stos ofiarny. Widzisz, koło ciebie powinna być atmosfera czysta. Wiem, że nie unikniesz cierpień, ale Ci męztwa wystarczy. Jestem spokojna — znam Ciebie. Gdybyś jednak osłabł, to i wtedy nie zwracaj się do mnie. Ja się nie cofnę, choćby dlatego, że z dawniejszej Twej miłości pozostałyby tylko litość i zmysły. To mi szczęścia nie zapewni. Dosyć tej gadaniny, dosyć, bo jej wspomnienie zatruje mi niejedną chwilę w życiu.

Chciałabym tylko umieć jakie zaklęcie, któreby Ci zesłało trochę spokoju.

Smutno mi, strasznie smutno odchodzić tak od Ciebie bez słów pożegnania z zaciśniętemi ustami i sercem. Najlepiej milcząc. Boję się uczuć, myśli, słów, a nadewszystko Twego i mego serca strasznie się boję. Widzisz, mimo wszystkiego bywają chwile słabości.. Z zaciśniętemi ustami i sercem rozstać się trzeba.

Cicho więc, cicho, Ty mój najdroższy, stała się Tobie straszna krzywda, ale cicho.“

* * *

Tak, jak chciała.

Ma dosyć męztwa. Ofiarny stos goreje: z płomiennej smugi wynurzają się jej myśli i jej twarze; ogniste języki pełzną po jej słowach.

Tak, jak chciała... zostaną popioły.

Fala ognista zalewa ostatnie jej słowa, a pobladłe usta powtarzają za nią i do niej: cicho... stała się krzywda.

KONIEC.

LITERATURA I SZTUKA.

PSYCHOLOGIA LITERATURY. *)

Huragan, który sroży się nad wszystkiemi tradycyami przeszłości, nie oszczędził też metod walki. Dawniej podejrzywano dobrą wiarę osób, posiadających inne zdanie, i spotwarzano bezinteresowność pobudek, pod wpływem których ktoś działał. Chwila dzisiejsza wysunęła innego rodzaju działa, wezwała bowiem do pomocy psychiatryę. W każdym charakterze znajdą się pewne wybryki, właściwe tej lub innej postaci, zwyrodniałej fizyologicznie. Nie potrzeba więcej! A zatem rzecznicy odmiennych poglądów zaczynają uchodzić za podejrzanych umysłowo... Powstają sążniste pamflety, z tego stanowiska przedstawiające jakiś wypadek historyczny lub partyę polityczną. Krytyka literacka również nie oparła się temu najazdowi, paszkwil psychiatryczny przedostał się też do niej. Całe szkoły artystyczne zostają oplwane jako dające przytułek różnym zwyrodniałym obłąkańcom. Tego właśnie zadania podjął się Max. Nordau w swojej pracy o „zwyrodnieniu“: co nie pasuje do kramiku jego upodobań, zostaje podciągnięte pod kategoryę psychiatrycznego zwyrodnienia i pozbawione czci wszelakiej. Niegdyś oceniliśmy w łamach *Prawdy* pierwszy tom tego dzieła. Obecnie leży przed nami drugi, w którym, niby w kalejdoskopie, przesuwają się parnasowcy i wielbiciele dyabolizmu, esteci angielscy i dekadenci, Ibsen ze swoimi naśladowcami i gromadka wyznawców „nadczłowieczeństwa“ z arcykapłanem Nietzschem na czele, Zola i jego naśladowcy skandynawscy, jak Strindberg, Garborg (?), „najmłodsze“ Niemcy... Orszak bez końca! Niepodobna zatem uskarżać się na to, że krytyczny skalpel Nordau'a dotknął niewielkiego grona osób. Kraje on ostro, bezlitośnie, jak gdyby w ręku rzeźnika. Każdy odchodzi z piętnem na czole: wyrodek fizyologiczny, obłąkaniec, urodzony zbrodniarz. Ibsen został zwolniony od zarzutu, że jest obłąkańcem, pasowany jedynie na *mattoida*. Inny, zdaje się, Zola, jest mianowany przewrotnym lubieżnikiem. Posłuchajmy chociaż jednego z tych sądów — dotyczy on człowieka, na którego pan Nordau rzuca się mimochodem. „Brandes — to jedna z wstrętniejszych postaci naszego stulecia. Pasorzyt, tuczący się na sławie i powodzeniu innych, w ciągu całego życia spełnia czynności kapelmajstra: jednocześnie wygrywa na dziesięciu hałaśliwych instrumentach przy pomocy głowy, ust, łokcia, kolan, stóp, tańcuje prysiudy przed poetami i pisarzami, a po sprawionej wrzawie idzie zbierać datki od ogłuszonej publiczności. Pracowicie przeciska się do każdego, który zyskał sobie jakiekolwiek imię w ciągu ostatniej ćwierci wieku i układa o nim retoryczno-sofistyczne frazesy.“ Takie pomyje wylewa Nordau na Brandesa, zresztą jeszcze mało obfite w porównaniu z temi, jakie przypadły w udziale innym. Jak widzimy zatem, krytyk nie ma miłosierdzia. Na polu tegoczesnej literatury N. prócz trupów nic nie zostawił i w swojej wojowniczej zaciekłości pasowania przeciwników na mattoidów przewyższył nawet swego mistrza Lombrosa, posiadającego przecież istotną manię znajdowania wszędzie półgłówków i zbrodniarzy. Nie ulega wątpliwości, że cała tegoczesność literacka nosi w sobie truciznę rozkładu — powiedzielibyśmy dekadentyzmu, gdyby nie to, że owa nazwa otrzymała specyalne znaczenie. I właściwi dekadenci i różni wielbiciele swojej rozkapryszonej jaźni, i indywidualista Nietzsche, i Renan mimo przyprawy społecznej, o którą go ten i ów podejrzywa, we wszystkich ukrywa się jakiś robak i toczy ich. Zdawałoby się więc, że powinniśmy z wdzięcznością przyjąć próbę w rodzaju Nordau'a, tak niecującą tegoczesność i wykazującą, że pod pozłotą ukrywa się zwyrodnienie. Tymczasem odkładamy książkę jego na bok z niekłamanym wstrętem. Każdy z czytelników spotkał prawdopodobnie jakiegoś tłuścioszka, lubiącego niezmiernie dużo rozprawiać w tonie górnolotnym a rozsądnym. Siedzi wygodnie na foteliku i mówi tak mądrze, arcymądrze, gładko a rozsądnie, niekiedy zaś palnie coś tak radykalnego, że stare ciotki wydają lękliwe okrzyki. Tłuścioch właśnie obrabia narwańców: zac ął od podstarzałej filantropki i wykazał, że czcza ambicya jest jedyną sprężyną jej dobroczynnej bieganiny; później wziął się do rozczochranego wierszokleta i rozwodził się nad narowami swojej ofiary, w końcu przeszedł do starej panny i żartuje z jej przywiązania do pieska. Krytyka sączy mu się z ust, przeplatana ruchami palców, na których połyska parę dużych pierścionków z drogimi kamieniami, zaprawiona solą zdawkowego dowcipu i jeszcze obficiej opisierskiego radykalizmu, oraz paradoksami, zgromadzonymi zewsząd. Słuchasz mądrych i dowcipnych wywodów i poczynasz czuć, jakby coś wewnątrz zaczynało burzyć się i kipieć. Wiesz z doświadczenia, że ów rozczochrany wierszokleta jest nadymającem się zerem, ale teraz gotów jesteś go wycałować; nawet pogłaskałbyś obrzydliwego psiaka starej panny, ażeby tylko zaprotestować. Takie to wrażenie mną ogarnęło, kiedy spoglądałem w skarbiec mądrości rozsądnego p. Nordau'a. Prawdopodobnie nie raz szturchnąłem mocno tę i ową z jego ofiar, wielokrotnie urągałem mistrzom nadczłowieczeństwa i histerykom zdechlactwa w literaturze, ale na widok tego, jak arcywielki Nordau pastwi się nad tą ciżbą schorzałą, instynktowo biorę stronę zdenerwowanych, nawet zwyrodniałych wielkości, wystawionych obecnie na kopnięcia w rodzaju tych, jakie ten zuch zadawał dogorywającemu lwu. A pierścionki z palców szanownego krytyka! Jak zawzięcie podsuwa je czytelnikowi pod oczy, ażeby odbitym blaskiem świadczyły, jakiego olbrzyma mamy przed sobą. Nietzsche sięga do antagonizmów rasowych pierwotnej ludzkości, aby z nich wyprowadzić swoją etykę wybrańców i etykę służalstwa — wywody w filozofii jego małoważne. Ale rozsądny krytyk rozbija je faktami z czasów przedhistorycznych i nie zaniedbuje przy okazyi popisać się, iż wie o istnieniu t. zw. śmietnisk kuchennych. Ibsen w dramacie jakimś wykłada swoje poglądy na małżeństwo. Nordau przeciw niemu wyciąga Westermarcka — ni przypiął, ni przyłatał. Gdzieindziej popisuje się, że wie o zwyrodnieniu pasożytniczem i przytacza cały ustęp z zoologii, to znowu poprawia nieścisłości pewnego psychiatry. Lecz któżby zliczył tę mądrość! A jest świeża, zdjęta prosto z igiełki. Czytelnik zadaje sobia pytanie, po co te nieskończone podsuwania pierścionków?.. Nadęto-blagierska, szczebiocząca radykalna dusza zadowolonego wszechfilozofa występuje w całej pełni, a w jej obliczu szczere majaczenia Nietzschego, namiętne manekiny Ibsena, nieobłudny grzech i wszetecznictwo Baudelaire'a pociągają ku sobie jako kwiaty świeże i pachnące.

A jednak — jednak Nordau ma często słuszność, wyznać to muszę z pewną przykrością. Wada jego książki, prócz nieodłącznej przyprawy filistersko-blagierskiej, tkwi naprzód w tem, że zanadto przesadził, uniesiony żarliwością o jaknajwiększe tryumfy ze swojej analizy, powtóre, ponieważ po za szatą antropologiczną nie dojrzał poważniejszego podkładu natury społecznej. Zatrzymajmy się chociażby nad jego analizą różnych prądów, których najwydatniejszą oznakę stanowi nadmierne wyuzdanie „jaźni“ artysty. Usiłuje on je wyprowadzić ze zwyrodnienia. Nadzwyczajne szperanie w swojem „ja“ i dawanie posłuchu jedynie jego głosom mają niby pochodzić z pewnego przytępienia zmysłów, donoszących wrażenia z zewnątrz, lub też z odporności środkowego organu nerwowego, głuchego na doływy zewnętrzne. Natomiast nerwy życia wewnętrznego drgają aż nazbyt silnie i znajdują oddźwięk w mózgu. W ten sposób jaźń osoby, która uległa zwyrodnieniu, niejako przestała być zwierciadłem dla otaczającego świata, traci zdolność oryentowania się w stosunkach zewnętrznych. Ktoś, pogrążony w takiem życiu wewnętrznem, nie potrzebuje ludzi, jak gdyby nie widzi ich. Wszystko, co nie jest własnem „ja,“ istnieje w mózgu niby jakiś nieprzezroczysty cień. Osoba tego rodzaju posiada najzupełniejszą niezdolność do przystosowania się względem swojego otoczenia. Z tego powodu odczuwa ona nader silnie wszystkie węzły, które ją krępują w zaspokojeniu głosów swojej natury. Zna tylko swoje namiętności i swoje żądze i tylko je uważa za normę postępków, gotowa walczyć przeciwko wszelkiej etyce, wiążącej świat zewnętrzny. Takiem jest niby tło organiczne, na którem wyrastają rzecznicy wygórowanej jaźni. Jest to wysoce prawdopodobnem. Nordau patrzy na taką strukturę fizyologiczną, jako na oznakę zwyrodnienia. Zapomina jednak o tem, że w świecie ludzkim niema „normalnego“ typu i że rzesza dwunożna przedstawi nadzwyczaj pstrą mozajkę z najrozmaitszych charakterów, że „nienormalność“ powstaje dopiero wtedy, kiedy jakaś cecha została zanadto spotęgowaną. Stępienie zmysłów z niewrażliwością na pobudki świata zewnętrznego dopiero na pewnym szczeblu swojego napięcia zaczyna odciskać zbyt mocne znamię na kimś i dopiero wtedy może uchodzić za coś nienormalnego, podobnie jak to zdarzyć się może z wprost przeciwnemi właściwościami. W każdym razie takim a nie innym jest grunt organiczny, na którym wyrosły prądy, zaprzątające się nadmiernie własnem „ja“ — mniejsza o to w jakiej postaci. Dajmy np. takiej osobie silne żądze przewrotnej natury i obdarzmy ją umiejętnością przyodziewania myśli w pisane słowo, a otrzymamy różne kierunki teraźniejszości, w imię kaprysów jaźni zaprzeczające nie tylko tym lub innym stosunkom społecznym, ale nawet samemu społeczeństwu. Ktoś będzie wyklinał kobietę, lecz nie żądze męzkie, i rozmyślał nad Ewą przyszłości— mechanicznym automatem, posiadającym kształty niewieście (Villiers de l'Isle Adam). Ktoś inny wyklnie całą przyrodę ze wszystkiemi jej powabami: nie chce słyszeć o żywych kwiatach, barwach, wzgórzach — jak bohater Huysmansa gotów zamknąć się w sztucznym grobie i otoczyć dziełami jedynie kunsztu, a w akwaryum zamiast żywych ryb umieścić mechaniczne. Inni, znajdując w swojej jaźni jakąś żądzę rozkładu trupiego, woni pierwotnej, będą je opiewali jako jedynie normalne i narzucali ogółowi społecznemu. Wszelka etyka zostaje wyklętą, jest ona dobra dla hołoty, ale nie dla wybranego grona, obwieszczającego jedyne prawo: głosu własnych zachcianek. Niema chyba popularniejszej filozofii nad filozofię nietzscheanizmu. Mistrz nadczłowieczeństwa przyszedł na świat jednocześnie w tysiącznych odmianach i głosi swoją naukę w formie poetyckiej, w szacie dramatu lub filozofii, lubo same wcielenia o sobie nawzajem nie wiedzą. „Piękno stoi wyżej niż cnota“ — mówi esteta Wilde. Napawać się

*) Nordau: *Entartung, II.*

urokiem jakiejś rzeczy jest najwyższą przyjemnością, do jakiej dojść możemy. Nawet zmysł na barwy w rozwoju jednostki jest ważniejszy, aniżeli poczucie różnicy pomiędzy złem a moralnem.“ To znowu zwyrodnienie zdradza się tem, że bohaterzy nie są żywymi ludźmi, lecz manekinami lub gadającymi szematami.

Taką jest treść wywodów Nordau'a, poprzeplatanych niekiedy bardzo niewłaściwymi wyciągami z dzieł psychiatrycznych. Znać w tej analizie nie zręczną rękę chirurga, ale grubiańskie dotknięcie rzeźnika. W tem mniemanem zwyrodnieniu organicznem widzi on źródło nienaturalności bohaterów Ibsena, psychicznej analizy Garborga, Hansona itd. Czy zaprawdę taką jest przyczyna wskazanych objawów i czy czasami Nordau, uniesiony fanatyzmem płytkiego umysłu, nie prześlepił jeszcze czegoś? Sądzimy, że tak. Pamiętajmy, że społeczeństwa europejskie rozpadają się coraz bardziej na prochy. Coraz więcej jest takich osób, które chociaż żyją wśród wszechświata, są jednak skończonymi samotnikami.

Udajmy się na jarmark w drobnem miasteczku. Każdy jest tutaj w stosunku do każdego kumem, w ostateczności zaś kumem kuma. Gdybyśmy zpośród tego tłumu wzięli kogoś i obdarzyli go talentem powieściopisarskim, napisałby on rzecz żywą. Tak pisał Rabelais, w nowszych czasach Dickens i im podobni. Ale życie niszczy tę spójność pomiędzy ludźmi, społeczeństwo samo przypomina coraz bardziej falę osób, pędzących po chodniku wielkomiejskim, wzajemnie się nieznających i nawzajem obcych sobie. Atomy, żyjące w świecie ludzkim, lecz nie z ludźmi, mnożą się — nie dlatego, ażeby były nietowarzyskie, ale ponieważ tak się stosunki złożyły. Otóż jakim sposobem taki atom społeczny, oderwany od wiru realnych namiętności, zagrzebany w ciasnem kółku swojego otoczenia, nawet przy największym artyzmie i wrażliwości na bodźce zewnętrzne, może stwarzać ludzi z krwi i ciała? Przedewszystkiem wygrzebie własne doświadczenie — analizę wewnętrzną i dla dekoracyi wyprowadzi parę osób, jak to widzimy u Garborga. Albo weźmie swoje idee jak Ibsen i przyodzieje je w szatę ludzką i każe perorować na scenie. Lub wreszcie, jak Zola, wyprowadzi szematy klasowe. Upadek istotnego realizmu niekonieczne więc potrzebuje wypływać z pobudek organicznych; może jest on w bardzo silnym stopniu owocem rozwoju stosunków społecznych. Nordau nie zrozumiał tego. Nie dziw. Nie mógłby wtedy sięgnąć po łatwe wawrzyny i wywołać oklasków wśród maluczkich duchem.

K. R. Żywicki.

LITERATURA POLSKA.

Henryk Sienkiewicz, *Pisma*. Tom XX.

Tom niniejszy zawiera następujące obrazki: „Wyrok Zeusa,“ „Z wrażeń włoskich,“ „Organista z Ponikły,“ „U źródła,“ „Lux in tenebris lucet,“ „Bądź błogosławiona,“ „Pójdźmy za nim,“ „Listy o Zoli.“ Połowa tych drobnych utworów drukowana była poprzednio w *Bibliotece warszawskiej*. Wrażenia, jakie otrzymujemy, nie są wcale jednolite, uwaga czytelnika z wielką przyjemnością zatrzyma się na prześlicznym obrazku „U źródła,“ przejrzy jeszcze kilka innych, natomiast z pewnem rozczarowaniem przebiegnie kartki bajki greckiej „Wyrok Zeusa,“ jeszcze większego zawodu dozna przy czytaniu „Pójdźmy za nim,“ stanowczy zaś niesmak ogarnie ją wobec „Listów o Zoli,“ nieudolnej i szkolarskiej rozprawki, niegodnej nawet drugorzędnego autora. Bezwątpienia Sienkiewicz jest niepospolitym artystą, posiadającym wrażliwość wysubtelnioną i pogłębioną, lecz nie rozległą. Popychadłem wrażeń nazwać go nie można. To raczej wykwintny rasowiec duchowy, lubujący się we wrażeniach miłych, łagodnych, w półtonach, w przebłyskach duszy wiele czującej i znużonej. Jak wyrafinowany wirtuoz, zagląda dyskretnie do duszy ludzkiej, ale słuch wydelikaconej jego wrażliwości pochwytuje niektóre tylko dźwięki. Z łagodną skwapliwością garnie się do czysto osobistych stanów duszy, czasami zatajonych i cicho szemrzących, doskonale odczuwa wielkie i słodkie ucziszenie serca, wiotkie i kruche tęsknoty, pożądania gorące, lecz nie burzliwe, bóle przygłuszone, lecz głęboko nurtujące.

Nie jest to wcale myśliciel. Sam bezwiednie powtarza: „myśl—to nieprzyjaciel.“ Zawsze oddaje się wewnętrznie uczuciom i płynie po ich falach swobodnie, z pewną tęsknotą i pewnemi słodkiemi pragnieniami. Posiada niezwykły zmysł barw i odcieni, prawdziwie plastyczny charakter poety. Z wielką umiejętnością potrafi wzruszać serca, jak biegły artysta, nie jak fuszer, posługujący się trąbami i piszczałkami. Umysł to raczej subtelny i wytrawny, niż obdarzony bujną wyobraźnią. Znamionuje go wyczulenie, lecz nie entuzyazm. Ma on pewien lęk przed rzeczywistością, życie dlań to poniekąd „morze, na którem wieją wiatry, dokąd chcą.“ Trwoga ta, pewien niesmak i bezradność wobec wiru życiowego każą mu pragnąć ukojenia, zacisza duchowego. Łaknienie spokoju wiąże się z zamiłowaniem tonów nieuchwytnych, mistycznych. Ostatecznie w obecnym okresie jest to świetna artystyczna indywidualność, z piętnem pewnego wykwintnego arystokratyzmu duchowego. Nie występuje w pismach bynajmniej z burzliwym zasobem myśli, z wiecznie nieuśpioną i czujną na wszelkie powiewy wrażliwością, namiętną i apostolską uczuciowością. Utwory jego nie wyjaśniają nam potęgi istoty życia, nie są właściwie ani pochodnią weselną, ani świetlanym kwiatem nadziei i wiary głębokiej. Wygrywa śliczne poetyczne melodye, ale prawie jednostajne, przynajmniej jednogatunkowe. Główną ich zaletę stanowi wdzięk słodki, kojący, prawie biorący w posiadanie duszę.

Największą i najlepszą rzeczą jest „U źródła,“ hymn tryumfalny na cześć miłości. Wielka radość i szczęście kochania nie spełnia się rzeczywiście, lecz jest tylko marzeniem sennem chorego. Cały ten obrazek przepojony jest niepospolitym artyzmem i poezyą. Bohaterem jest młody doktór filozofii, wiele rokujący na przyszłość, lecz niemajętny chłopiec. Zakochał się głęboko w pannie Toli, córce rodziców zamożnych i arystokratycznych. Spotkał go zawód, dostał stanowczą odmowę. Tola całkiem biernie zachowała się w tej sprawie. Następne jego dzieje są wyśnione w gorączce. Otóż rodzice wkrótce się opamiętali i pierwsi poczynili kroki pojednania. Rozpoczął się więc niebawem błogi poemat narzeczeństwa i pierwsze chwile poślubne. Tola należy do umiłowanego i, dodać należy, głęboko odczuwanego przez Sienkiewicza gatunku kobiecego. Jest to dziewczę naiwne i urocze, uczucia budzą się w niej w sposób nieśmiały i wstydliwy, duszę posiada czystą i świeżą, umysł bezkrytyczny i wiotki, słowem jest to uosobienie dziewiczości, przeznaczonej do zlania się i pochłonięcia przez męzką indywidualność. Poddaje się ukochanemu bez chęci oporu, bez zazdrosnego strzeżenia swej odrębności, gubi się w nim, rozpływa. Ślicznie maluje S. szczęście pogodne, pieściwe, łagodne, upajające, niezmącone. Po pierwszych zgiełkliwych chwilach zespolenia się węzłem narzeczeńskim ogarnął ich wielki spokój radości i szczęścia. Kochanie ich wkrótce rozkwitło wesoło. „Człowiek w takim stanie — powiada autor — oddaje się do tego stopnia kobiecie kochanej, że nie wie, gdzie się kończy jego *ja*.“

„Lux in tenebris lucet“ maluje zwichnięte życie artysty-rzeźbiarza przez śmierć żony. Kamionka nie miał skrzydeł u ramion, posiadał tylko talent nieco wyższy nad średnią miarę i może dlatego sztuka nie zdołała mu ani wypełnić życia, ani wszystkich strat nagrodzić. „Po śmierci żony całkowite życie Kamionki i wszystkie jego myśli owinęły się koło wspomnienia o niej i czerpały z niego pokarm, zupełnie jak pasorzytna roślina czerpie pokarm z pnia, na którym żyje. Ale z tego rodzaju wspomnień roślina ludzka może czerpać tylko zatrute soki, złożone z żalu i ogromnego zmartwienia, więc też i Kamionka zatruwał się, krzywił i marniał.“

Chory, zaniedbany przez wszystkich, w przedzgonnej chwili doznał halucynacyi, ujrzał w świetlanej aureoli znajome, stokroć ukochane rysy swej zmarłej żony. „Nie zapomniałeś o mnie — rzekła — więc przyszłam i uprosiłam ci śmierć lekką.“

Prześliczna jest legenda indyjska: „Bądź błogosławiona.“ Przytoczymy jej zakończenie: „Kwiecie wcielony — spytał Kryszna zdziwiony — więc i serca poety się boisz? — Panie — odpowiedziała dziewczyna — gdzież mi to zamieszkać kazałeś? Otom w tem jednem sercu ujrzała i śnieżne szczyty gór, i głębiny wód, pełne dziwnych istot, i step z wichrami i burzą, i ciemne jaskinie Elory; więc boję się znowu, o panie! — Lecz dobry a mądry Kryszna rzekł: Uspokój się, kwiecie wcielony. Jeśli w sercu Walmiki leżą samotne śniegi, bądź ciepłem tchnieniem wiosny, które je stopi; jeśli jest głębina wodna, bądź perłą w tej głębi; jeśli jest pustka stepu, posiej w niej kwiaty szczęścia; jeśli są ciemne pieczary Elory, bądź w tych ciemnościach słońca promieniem.“ Szkoda, iż pierwsza część przytoczonego zakończenia przypomina pewien humorystycznego zakroju wiersz Heinego.

Ładnym obrazkiem jest „Organista z Ponikły.“ Kleń miał prawdziwy talent muzykalny. Bardzo wdzięcznie obrazuje autor jego skłonności i popędy artystyczne, jego grę na organie w kościele. Kleń, nie będąc jeszcze organistą, pokochał gorąco pannę Olkę, córkę stryeharza z miasteczka. „Wpiła mu się ona, jak kleszcz, w serce i swemi oczyma, jak chabry i swoją jasną twarzą, i swemi ustami, jak wiśnie.“ Ojciec dziewczyny stanowczo był niechętny jego odwiedzinom. Nasz muzykant w chwilach przytomności myślał, że lepiej je zaniechać, uczuwał ze strachem, że tego uczynić nie zdoła — i z wielkim frasunkiem powtarzał sobie: „Ej, to zalazła, cęgami nie wyrwiesz.“ Niewątpliwie dużo psychicznej odczuwalności i poczucia miary artystycznej ujawnił S. w kreśleniu nikłej sylwetki młodego organisty, noszącego w duszy radość, jakby płomieniejącą jasnem światłem latarki. Ale sam motyw, polegający na zamarznięciu, lubo rzucony na bardzo piękny, impresyonistyczny krajobraz zimowy, zużyty jest i spowszedniały.

We wstępie do szkicu „Z wrażeń włoskich — Nerwi,“ zwierza się autor. „...Jestem jak obłok, który wiatr nosi, czasem aż do umęczenia. Ostatnim razem przepędził mnie nad Włochami — więc, co można było ujrzeć i spamiętać w przelocie—to wam posyłam— na żądanie.“ Zupełnie odmiennie muszą się przedstawiać kraje południowe oczom, przywykłym do jednostajnych płaszczyzn i jednostajnych barw w krajobrazie, a do wielkich głębin powietrznych. O morzu powiada S. „iż jest wiecznie jednakie i wiecznie zmienne, więc i uspokaja nas, i zamiast nużyć, ożywia.“ Wszelki krajobraz jest niczem innem, jak stanem duszy. Sienkiewicz

w krajobrazy swe dużo wkłada duszy, ale jeszcze więcej poczucia malarskiego. Nie rozwija przed czytelnikiem barwistej wstęgi nieoczekiwanych obrazów, niezwykłych zestawień, głębokich poglądów, lecz jak wytrawny artysta z wielką umiejętnością umie poddawać odpowiedni nastrój, pochwycić efektowne znamiona.

Cóż powiedzieć o „Pójdźmy za Nim“? Obrazek ten wywołał sporo sądów, lecz niewielkie wrażenie. Koloryt miejscowy w nim jest, tło podmalowane, ale duszy nie ma, nie ma właściwie potężnej idei, oskrzydlającej i nadającej rozmach poetyczny utworowi. Każe nam być autor przytomnymi przy straceniu Chrystusa. Dajmy mu głos. „Szedł wśród urągowiska ciżby, jakby w zaświatowem zamyśleniu pogrążony, jakby oderwany już od ziemi, jakby niebaczny na okrzyki nienawiści, lub jakby nad miarę ludzkich przebaczeń przebaczający i nad miarę ludzkiej litości litościwy, bo już nieskończonością ogarnięty, już nad ludzkie złoto (złe?) wyniesiony, cichy bardzo, słodki i tylko ogromem smutku całej ziemi smutny.“ Jest to mdłe.

Postać Antei, dostojnej rzymianki, przymglona jest i niewyraźna. W kreśleniu jej ujawnił autor bardzo mało siły dramatycznej. Literatura, posiadająca taki wspaniały utwór, jak „Irydyon“ Z. Krasinskiego, nie może zachwycać się płodami miernej wartości, nawet znanego nazwiska. Słabo odczuł S. łaknienie nowej prawdy, spokoju duchowego, narkotycznie słodkie upojenia rodzącą się wiarą, nie potrafił zobrazować wspaniałej gry świetlanych promieni, wdzierających się do duszy, przepełnionej zaduchem martwiejących wierzeń i żądzą oddania się jakiemuś ideałowi. Z góry można było przewidzieć, iż miękka i wyłącznie estetyczna jego natura nie podoła temu zadaniu.

Nie dziw, iż S. nie sympatyzuje wcale z Zolą i że napisał surową ocenę „Doktora Paskala.“ Indywidualność bowiem i kierunek prac mistrza naturalizmu francuskiego całkiem nie odpowiadają jego naturze. Ale przebaczyć mu nie można, iż jego studyum krytyczne jest zlepkiem wielokrotnie powtarzanych frazesów, iż nie przebłyskuje w niem żadna oryginalna myśl. „Trzeba się wysoko wspinać, by dostać barw od zorzy lub tęczy — powiada— a ślinę każdy ma w ustach i malować nią łatwiej.“ Takim ryczałtowym sądem załatwia się S. z naturalizmem.

Cóż powiedzieć na zakończenie? Sienkiewicza nie można nazwać żywem i dźwięcznem echem wielkich słów, poruszających ludy. Niniejszy zbiorek przedstawia wyraźne znamiona pięknego talentu, ale talent ów. jak wykwintny muzyk, wygrywa na flecie dosyć jednostajne melodye.

Bron. Lud.

TEATR.

E. Lubowski, *Wycieczka z przeszkodami*, Krotochwila w 3-ch aktach.

Autor spożytkował wydarzenia, wielokrotnie odtwarzane już na scenie, okrasiwszy je szczupłym zaledwie zasobem werwy.

Cyniczne są zwierzenia dwóch mężów, starych lubieżników, Jabłkowskiego i Mielnickiego, zachwalających sobie wzajemnie kochanki, Żanię i Franię, odczytujących nieortograficzne ich listy, unoszących się nad dobremi ich sercami i przywiązaniem każdej z nich dla każdego z nich.

Farsa sceniczna, obrawszy wątek zdrady małżeńskiej za źródło głównych intryg, winna pokryć ją takim humorem i werwą, takiem nagromadzeniem szybko i żwawo po sobie następujących faktów, żeby słuchacz nie miał czasu odczuć niesmaku. P. Lubowski nie wpadł na ton takiego humoru.

Jego mężowie, zrzuciwszy z siebie jarzmo małżeńskie, przybywają do Heist wraz z kochankami, które przedstawiają dwom świeżo poznanym rodakom jako żony swoje, chcąc tym sposobem obudzić powien szacunek dla nich i uchronić je przed natarczywością stęsknionych za płcią piękną młodych ludzi. Żania i Frania, znudzone swymi „starymi“, złe na nich, że przywieźli je do głuchej, pustej dziury nadmorskiej pod Ostendą, bawią się robieniem „perskiego oka“ do rodaków, Burzymowicza i Faraniewicza, na co ci odpowiadają nietylko okiem, lecz komplementami i całowaniem rączek. Zazdrosni opiekunowie wybuchają gniewem na niewdzięczne pupilki za niesforność ich i brak wychowania; gdy uspokojeni cokolwiek, zasiadają do śniadania, przychodzi telegram od żon, zwiastujący natychmiastowe ich przybycie. Wierne Penelopy, wytropiwszy przypadkiem ślady zbiegłych małżonków, postanawiają przyłapać ich na uciesznych zapewne rozrywkach — kto wie — może z kobietami. Dzięki telegramowi, nie zastają już jednak Żani i Frani. Opiekunowie wyprawiają je do Ostendy, oprowadzają z kwaśną miną po wybrzeżu w braku wesołych dziewcząt legalne, a wielce sentymentalne swe żony, Annę i Melanię. Panowie: Burzymowicz i Faraniewicz, nie znając tych pań, a wierząc naiwnie w świątobliwość Żani i Frani, traktują je jak kokoty. Ma się odbyć pojedynek między obrażonymi mężami obrażonych żon, a trywialnie napadającymi na nie Burzymowiczem i Faraniewiczem. Nieporozumienie kończy się jednak wkrótce zgodą, a nawet koleżeńską przysługą ze strony rodaków, którzy, obudziwszy pewne podejrzenia w paniach Jabłkowskiej i Mielnickiej co do wierności ich małżonków, zapewniają w końcu piękne damy, z oblicza których bije majestat żon prawowitych, iż powinny być spokojne o cnotę panów swoich i władców, gdyż oni, Faraniewicz i Burzymowicz, usiłowali wieść ich na pokuszenie, przedstawiwszy im bawiące tu chwilowe damy serc swoich. Żony wierzą naiwnie. Mężowie dochodzą do wniosku, iż teraz dopiero przeszedłszy drogę cierniową obaw i skrupułów, pokochali prawdziwie cnotliwe i bogobojne kapłanki domowego swego ogniska. Żania i Frania w towarzystwie Burzym. i Faran. oraz, dwóch świezo nabytych papug „inseparables“ wyjeżdżają do Ostendy. Koniec pomyślny, gdyż farsa musi kończyć się pomyślnie, a sens moralny?

Od krotochwili nie wymaga się aż tyle, jednak — zjadliwa, piekąca satyra na bieżące stosunki towarzystwo-społeczne mogła była stworzyć go i tutaj.

Wszak i w farsie widzimy odtworzenie życia.

Iskra złośliwego humoru, rozniecona z pewną świadomością swego zadania, byłaby odświeżyła zużyty temat. Wszak myśli nasze nicujemy ciągle, dodając do nich tylko nowe osłonki o zmienianych w miarę potrzeb i przekonań chwili kombinacyach barw oraz formy.

Jedyną świeżą i całkiem oryginalnie obmyśloną postacią w krotochwili Lubowskiego jest Burzymowicz, obywatel z Kołomyjskiego, trochę naiwny, szczery, a zawsze komiczny. Wyczekuje się z upragnieniem wejścia jego na scenę; bawi publiczność, skupiając w sobie cały humor sztuki. P. Frenkiel umiarkowanie, lecz charakterystycznie i świetnie, jak zwykle, odtwarza tę rolę.

Inni artyści (Rapacki, Wolski, Federowicz, Junosza) grają naturalnie, swobodnie lecz jednostajnie i zbyt powolnie. P. Prażmowski ma dobry atak złości na niesforną i zbyt wymagającą Żanię. Pp. Czaki i Barszczewska słusznie przełożyły role zuchwałych i bezczelnych kokotek nad otworzenie postaci żon świątobliwych: to zabawniejsze i bardziej popisowe.

C. W.

NOWE KSIĄŻKI.

Dr. S. Sterling, *Pielęgnowanie chorych*, str. 44, Warszawa, Koliński, kop. 30.

Autor daje treściwe wskazówki, pouczające tych, którzy pielęgnują chorych, umiejętnego niesienia im pomocy i dopełniania zleceń lekarza.

J. Grajnert, *O sławnym rycerzu, o giermku słowaku i jego kochance*, str. 74, Warszawa, Prószyński.

Jest to dość zajmująca opowieść, rzucona na tło pierwszej wojny krzyżowej.

A. N., *Szkodnictwo* w polach, lasach, ogrodach i kary za nie, str. 53, Prószyński.

Wobec rozpowszechnionego u nas szkodnictwa, które często udaremnia wszelkie wysiłki gospodarcze, a z drugiej strony wobec zamętu pojęć i nieznajomości przepisów, książeczka ta jest bardzo pożytecznym przewodnikiem.

Kalendarz księgarsko-literacki na r. 1814, Warszawa, Centnerszwer.

Oprócz kilku obrachowań statystycznych, dziełko to jest wyłącznie zbiorem wykazów bibliograficznych.

Plato v. Reussner, *Najnowszy elementarz polski*, część I i *Najlepsza metoda języka niemieckiego*, Warszawa, nakład autora.

Trudno nam rozróżnić bardzo delikatne odcienie w pomysłach początkowej nauki czytania i pisania, a więc trudno również określić ściśle różnicę tego elementarza od innych. Co do *Metody*, jej wydanie XI świadczy, że dość jest ludzi, którzy mają wytrwałość przebrnięcia przez tyle ćwiczeń językowych.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Uwaga pewnego pasażera. — Wybory do Izby handlowej. — Gospodarka miejska. — Kulparków.

Ach, pan z przeproszeniem z Krakowa!

Widzę zdziwienie na twarzach waszych, czytelnicy, a zapewnić was mogę, że usłyszawszy powyższy wykrzyknik w wagonie kolejowym, z początku „przeproszenia“ tego również nie pojąłem. Gdy jednak mój towarzysz podróży powtórzył te słowa po cichu, zauważyłem, że w oczach jego maluje się coś, jakby wielkie pobłażanie, gotowość przebaczenia największej bodaj głupoty, współczucie, no — i chyba własna duma nie pozwoliła mi dostrzedz w spojrzeniu tem... litości. Obruszyłem się naturalnie, jak to dla osobnika gniazdo swoje szanującego przystało, rzuciłem bezczelnemu pasażerowi pogardliwe: *kto zacz?* i zasnąłem z silnem postanowieniem niezawiązywania żadnych już wagonowych znajomości.

Ochłonąwszy z pierwszego oburzenia, zacząłem medytować. Pobłażanie, gotowość przebaczenia, współczucie a nawet litość — wszakże to wszystko uczucia, które u byle kogo znaleźć trudno. Jeżeli więc mój towarzysz podróży był człowiekiem lepszym, to w każdym razie nad słowami jego choć chwilkę zastanowić się warto.

A przedewszystkiem zbadać należy, czyśmy suknie nasze tak już zdarli, że objektywnie usposobiony przechodzeń nazwać je musi łachmanami, czy też może suknie te przez tyle już lat tak starannie łatane, są dość przyzwoite jeszcze, a tylko na „przeczulonym“ widzu czynią wrażenie szmat... No, i zacząłem badać, wglądać, przeglądać...

Nieprawdaż, że wyrazy, jak „Rada: państwa,“ „poseł,“ „reprezentacya państwowa,“ „jednostka pracująca dla dobra publicznego“ wywierają na umysły, do delicyj tych nieprzyzwyczajone, wpływ magiczny? Nasuwają one mimowoli na myśl dumania o wnikaniu w potrzeby warstw, którym braków swoich tłomaczyć nie wolno, o przejęciu się wielkością podobnego zadania, o konieczności usilnej pracy, o wydatkowaniu wszystkich zasobów duchowych dla jednej idei itp. Tymczasem jak wygląda rzeczywistość? Kwalifikacyą na posełstwa są popierwsze: niedenerwujące poglądy społeczne, powtóre — pieniądze, potrzecie — postanowienie okazywania przychylnym wdzięczności. Zepsucie wyborcze przejawia się z najgwałtowniejszą siłą tam zwłaszcza, gdzie liczba głosujących jest mała, a więc przy wyborach z kuryj gmin wiejskich i z Izb handlowych. Łatwiej bowiem kandydatowi zaspakajać apetyty dwudziestu życzliwych, aniżeli szukać uczuć przyjacielskich między tysiącami, nadto zaś łatwiej z grona prawyborców wybrać „medya“ wskazówkom prestidigitatora powolne. Wybory tegoroczne do Izby handlowej najzupełniej to potwierdzają. Już na długo przedtem wysłano do miast i miasteczek kupców na głosy, które posiadają pono cenę targową. Manipulacyę tę ułatwia możność oddawania głosów nie osobiście, lecz drogą poczty. Karty, wysyłane przez władzę, przeprowadzającą wybór, za pieniądze dostają się do rąk pośredników, którzy nadsyłają je głównym „macherom.“ Ci, po wypisaniu na nich nazwisk protegowanych, a raczej protegujących kandydatów, wysyłają je napowrót do miejsca zamieszkania wyborców, na ręce zaufanych, którzy je następnie zwracają komisyi. Kandydaci zobowiązali się oczywiście do głosowania na rzecz pewnej jednostki, posełstwa żądnej, która właśnie kierowała temi przygotowaniami. Z przeproszeniem, w Krakowie... Protesty przeciwko tym nadużyciom, podniesione przez grono kupców, poważne firmy tutejsze, towarzystwo budowniczych, wydać mogą rezultat jakiś dopiero po kilku latach. W każdym razie notujemy je jako objaw dodatni.

Od pół roku mamy nowy teatr, otworzony w obecności namiestnika i marszałka, po poprzedniem powierzeniu dzierżawy gmachu p. Pawlikowskiemu. Podanie do Wydziału krajowego o wypłatę zapomogi zostało oddalone, ponieważ dotychczas kontraktu nie podpisano, wskutek czego osoba dzierżawcy nie może być uważana za upoważnioną do prowadzenia przedsiębiorstwa. Z jakich powodów gmina doprowadziła rzecz do tak komicznego momentu, odgadnąć doprawdy trudno. Nie wiemy też dotychczas, ile właściwie teatr kosztował, podobnież jak nie oglądaliśmy jeszcze rachunków ze znacznie wcześniej ukończonego zakładu kontumacyjnego. Czyżby więc doprawdy powszechnym hamulcem wszystkich słusznych czynności miało być u nas „cenienie czasu“? Na posiedzeniu Rady miejskiej prezydent zaznacza, że mimo surowych napomnień, departament budownictwa nie przedstawia rachunków, budżet miejski, który przed końcem roku winien być wypracowany, u nas dopiero za kilka tygodni będzie gotowy — bo zapewne znowu na pracę tę czasu pożałowano. Od roku opróżnione miejsce drugiego wice-prezydenta dotychczas obsadzone jeszcze nie zostało, a jednak pracy dla takiego dygnitarza, który w istocie rzeczy jest kierownikiem magistratu, znalazłoby się dość, gdyby zechciał mieć... czas.

Zakład dla obłąkanych w Kulparkowie ma już swoją smutną sławę. Dziś wspominamy o nim z powodu dwoch sprawozdań komisyi opieki nad obłąkanymi do sejmu. Pierwsza stwierdza — a podpisali je naczelny lekarz krajowy p. Merunowicz i dr. Adam Czyżewicz, że: „jadło jest niedobre, rosół zasypują stęchłą kaszą, barszcz —bez smaku, mięso — najgorszego gatunku, ziemniaki — suche.“ Porcye mięsa wydawane są bez miary i wagi, a przyrządzane w jednym kotle, z którego następnie cudownym jakimś sposobem wyrasta i sztuka mięsa, i pieczeń cielęca, i mięsiwa angielskie itp. Natomiast ze sprawozdania prof. uniwersytetu krakowskiego, Leona Halbana i Edwarda Sawickiego, dowiadujemy się, że utrzymanie zakładu jest wzorowe, a wikt bardzo smaczny. Brzmi to przyjemnie, szkoda tylko, że nieprawdziwie. Bo oddawna wiadomą jest rzeczą, że zakład kulparkowski znajdować by się mógł... z przeproszeniem — w Krakowie.

Ferropar.

WSTĘP DO REFORMY.

Bardzo szeroko rozprawiano 1892 r. na zjeździe kolejowym w Petersburgu o zniżeniu taryfy pasażerskiej i ostatecznie myśl tę w zasadzie przychylnie przyjęto, ale przed krokiem stanowczym zarządzono środki zbadania warunków jazdy. Od tej chwili już drugi rok upływa, a uwaga powszechna w tym względzie wcale nie osłabła, czego najlepszym dowodem są częste pogłoski, za pośrednictwem prasy powtarzane, o kiełkowaniu ziarna, rzuconego w program działań przedsiębiorstw komunikacyjnych. Tymczasem materyał się gromadzi i dziś przedstawia już pewną grupę faktów, na których, po dostatecznem rozjaśnieniu, można będzie osnuć działania praktyczne około uprzystępnienia jazdy masom ludności.

Biuro zjazdu ogólnego przedstawicieli kolejowych ogłosiło właśnie prace statystyczne, obejmujące okres 1873—91, w tem największą systematycznością w ugrupowaniu odznaczają się szczegóły z ostatnich trzech lat. Oto ważniejsze dane: Na podróżnych, płacących za przejazd według taryfy normalnej, przypada 79%, bilety abonamentowe tudzież wszelkie ulgowe stanowią 6%, na ruch robotniczy w klasie IV przypada 2%, przewóz wojska 7%, aresztantów 1%, bilety bezpłatne 5% ogólnej liczby pasażerów. Znaczną przewagę liczebną stanowią podróżni klasy III, tak np. 1990 r. w klasie I przewieziono osób 378,882, w II — 2,085,866, w III — 29,323,341, czyli w stosunku procentowym kl. I — 1%, kl. II — 6% i klasa III — 93%. Natomiast średnia długość podróży ma się w stosunku odwrotnym do liczby pasażerów. Jedna osoba w kl. I przejechała przeciętnie wiorst 254, w kl. II — 143, w kl. III—93 wiorsty. Największy dochód daje klasa trzecia, w ciągu bowiem roku przyniosła rs. 33,416,160, druga—6,701,896, pierwsza — 2,881,755 rs. Nie chcąc zbyt nużyć czytelnika cyframi, posługujemy się najcharakterystyczniejszemi i poprzestajemy na ogólnych wnioskach. Dane, przedstawiające wzajemny stosunek procentowy podróżnych wszystkich trzech klas, wskazują, iż pasażerowie kl. III na najkrótszych odległościach (50 wiorst) stanowią 93,82%, na przestrzeni 50—100 w.— 93,12%, 100—200 w. — 90,98% i 200—300 w. — 88,85% ogółu. Stosunek ten stopniowo się zmniejsza i dochodzi do najniższej normy na przestrzeniach od 2,300 do 2,400 wiorst (28,57%), tudzież od 2,500 do 2,600 wiorst (33,33%); potem na odległości 2,600—2,700 w. znowu silnie się podnosi do 91,02%. Podróżni klasy pierwszej na odległościach blizkich stanowią liczbę nieznaczną: od 600—700 wiorst daje się spostrzegać wzrost i dosięga maximum na odległościach 2,300—2,400 wiorst (71,43%) i 2,500—2,600 (66,67%). Większą równomierność widzimy w ruchu pasażerów klasy II w stosunku do podróżnych klas innych; w miarę zwiększania się przestrzeni, rośnie liczba osób.

Dochód kolejowy z ruchu pasażerskiego tak się przedstawia: Na 43,009,811 rs. wpływu ogólnego z tej rubryki (za wszystkie klasy), r. 1890 pasażerowie strefy 1—100 wiorst zapłacili około 12½ mil., na przestrzeni 100—200 w. — przeszło 9¼ mil. rs. Najzyskowniejsza klasa trzecia, za przewóz bowiem 22 mil. ludzi na odległościach nieprzewyższających 100 wiorst, koleje otrzymały przeszło 11 mil. rs.; za przestrzeń 100—200 w. ta sama klasa dała niespełna 8 mil. rs.

Przyjrzyjmy się chociaż pobieżnie danym za czas 1873—1891. Liczba pasażerów w tym okresie prawie się podwoiła w stosunku do lat poprzednich. W r. 1873 liczba ta (z wyjątkiem wojska i aresztantów) stanowiła 21 milionów, w roku zaś 1890 dosięgła już cyfry przeszło 41 mil., czyli przeciętny przyrost roczny daje 1,15 mil. osób. Pewną atoli rozbieżność stanowi stosunek zwiększenia się liczby podróżnych do wzrostu sieci kolejowych. Tak np. w okresie 1873 — 1877 przybyło kolei 4,920 wiorst (przeciętnie 1,230 na rok), ruch pasażerski zwiększył się o 1,3 mil. osób; od 1878—1882 kolei przyrosło 1,860 w. (370 na rok), podróżnych 1,7 milionów; w okresie 1883—1887 kolei 3,459 (692 na rok), podróżnych 0,12 mil. i wreszcie od r. 1888 do 1891 kolei przybyło 2,525 w. (631 na rok), liczba podróżnych wzrosła o 1,6 mil. Stąd widzimy, że w miarę szybszego wzrostu kolei ruch podróżnych stosunkowo słabnie i odwrotnie — przy opieszałości w budowie nowych linij ruch ten się wzmaga.

Śród chaosu danych, częstokroć nadzwyczaj sprzecznych, niezmiernie trudno wyciągnąć wnioski ogólne, które przedstawiałyby w logicznej formie jakiś jasny całokształt ruchu pasażerskiego i jego wpływu na interesy przedsiębiorstw kolejowych. Wiemy tylko to, że przewóz podróżnych klasą trzecią coraz bardziej wzrasta, wraz z dochodem, że natomiast klasy I i II mniej zysku dają, a nawet straty przynoszą. Prawidłowości w cyfrach nie można pochwycić, ruch bowiem na kolejach często zależeć musi od czynników pobocznych, mniej lub więcej złożonych, które statystycy kolejowi pomijają. Wprawdzie materyał nagromadzony z tej dziedziny ruchu jest stosunkowo najpewniejszy, bo oparty na ścisłej kontroli przewozu podróżnych. Ale i tutaj, jak i wogóle „przeciętność“ w statystyce, ma wątpliwe i nieraz mylne znaczenie. Wyobraźmy sobie, że ktoś chce obliczyć przeciętną zamożność mieszkańców na jednej wiorście kwadratowej. Otóż przypuśćmy, że mieszka tam dwóch rentierów, z których jeden ma 5, drugi 10 tysięcy rocznego dochodu, obok nich dziesięciu kolonistów, mających po 100 rs. rocznego zysku i wreszcie czterech żebraków, mających zero. Użyjmy rachunku przeciętnego, a przekonamy się, że mieszkańcy owej wiorsty kwadratowej są średnio zamożni, na każdego bowiem z nich przypada po 1,000 rs. rocznego dochodu.

Coś podobnego widzimy w podziale ruchu pasażerskiego na strefy. Wedle danych statystycznych, największa liczba osób przebywa przestrzenie krótkie. Biorąc to zjawisko za podstawę reformy taryf pasażerskich, trzeba byłoby zniżyć ceny biletów na przestrzeniach małych, a podnieść na wielkich, gdyż ożywienie na pierwszych powinno świadczyć o zwięk-

szonych potrzebach jazdy na krótkiej odległości. Ale jak poradzić z takiem zjawiskiem: na przestrzeni 125 wiorst od Łodzi do Warszawy, tj. w strefie krótkiej, panuje ruch olbrzymi. Weźmy znowu taką samą przestrzeń, przypuśćmy, między Łunińcem a Mozyrem na kolei Poleskiej, a przekonamy się, że tam wystarczałby zupełnie jeden wagon na dobę. Cała więc podstawa „przeciętności,“ zbudowana z milionów cyfr, w tym względzie upada.

Do wyjaśnienia przyczyny większego ruchu na krótkich przestrzeniach posłuży nam jedno zjawisko, które zapewne każdy z dużo jeżdżących spostrzegł. Nieraz jadąc jednym ciągiem 1,000—1,200 wiorst, widziałem masy podróżnych (przeważnie żydów), którzy na całej drodze np. między Warszawą a Odesą, lub Warszawą a Kijowem i Moskwą, prawie na każdej stacyi kupują nowy bilet (3-ej klasy). Zaciekawiony tem, postanowiłem zbadać owe „dziwactwo“ i przekonałem się, że jest ono oparte na sprytnem wyrachowaniu, acz połączonem z kłopotem. Pasażer taki liczy na to, że kontrolowanie każdego z podróżnych nie może się odbywać co godzinę, więc jeżeli kupi bilet np. z Warszawy do Otwocka, łatwiej potrafi przejechać darmo do Pilawy, a tam opłaciwszy drogę do Sobolewa, przemyca się do Iwangrodu. Na to większość tej kategoryi pasażerów rachuje i jeżeli „szczęście“ nie sprzyja, musi opłacać podróż całą, przeszło tysiąc wiorst, za pomocą kupowania biletów od stacyi do stacyi. Gdy stoją na przeszkodzie osobne przepisy, co do jazdy prostą komunikacyą w trzeciej klasie — starają się oni wybierać stosowne pociągi towarowo-osobowe.

Opieranie zatem działań na podstawie zbyt jednostronnej statystyki, bez szerszego rozejrzenia się w zjawiskach złożonych, nie doprowadziłoby do pożądanego celu. Dane z ruchu kolejowego niewątpliwie posłużą w pewnej mierze za punkt wyjścia w przekształceniu obecnego systemu taryfikacyi pasażerskiej, ale i to pewna, że twórcy reformy, biorąc ten materyał za wstęp do swej pracy, nie poprzestaną na tem. Zagranica dostarczyła już sporo danych faktycznych i wniosków teoretycznych w tym przedmiocie, o których mówiono obszernie na międzynarodowym zjeździe przedstawicieli dróg żelaznych w Petersburgu *).

Wywody zaś Engla, zamknięte w wyczerpującem dziele „Reforma kolejowa“ (*Eisenbahnreform*) posłużyły w Rosyi do stworzenia podobnego systemu badań, z których dowiadujemy się o ciekawym stosunku w wagonach miejsc wolnych do zajętych. Świadczą one o wielkiej nierównomierności, która przy zmianie taryf pasażerskich dałaby się usunąć bez potrzeby nagłego zwiększania taboru ruchomego, o co głównie się boją przedstawiciele prywatnych przedsiębiorstw kolejowych, ze względu na zwiększenie ruchu pasażerskiego przy uprzystępnionych cenach jazdy.

Po za statystyką kolejową i wzorami gospodarki zagranicznej, twórcy nowego systemu taryf zapewne zwrócą uwagę na inne czynniki: rozwój przemysłu i handlu w ostatnich latach, udoskonalenie techniki i wogóle rozrost tych wszystkich zjawisk, które skłaniają ludność całego państwa do ciągłego przerzucania się z miejsca na miejsce, odległe o setki i tysiące wiorst od siebie. Dopiero po uwzględnieniu tej strony potrzeb ogółu mieszkańców, reforma będzie przeprowadzona całkiem racyonalnie.

Na zjeździe 1892 r. p. Perl, zarządzający wydziałem komunikacyj zagranicznych głównego Towarzystwa kolei ruskich, kładł nacisk na praktyczność taryf ze stopniowem zniżaniem w miarę zwiększania się odległości, na wzór systemu, zastosowanego do przewozu zboża. Zdanie to podzieliło wielu wybitnych przedstawicieli kolei ruskich i zagranicznych, a sfery rządowe bardzo przychylnie przyjęły myśl owych opłat z systemem strefowym. Obecne zaś badania są poniekąd wynikiem ówczesnych narad i stanowią ważny wstęp do czynu, na który, o ile wnosić można, długo już czekać nie będziemy.

Zen. Piet.

*) Pisaliśmy o tem szczegółowo w nr. 43 i 44 *Prawdy* z r. 1892.

PAMIĘTNIK.

Włoski Fortuny.

Niewiele jest zapewnie spraw, którym by nasza prasa brukowa poświęcała więcej uwagi i najserdeczniejszych uczuć, niż loterya. Co pół roku kładzie ona pokotem wszystkich kolektorów i sprawia im rzetelne cięgi za szachrajstwa ze sprzedaży biletów. I jakież to są szachrajstwa? Kolektor, otrzymawszy losy, nie puszcza ich do sprzedaży, lecz albo odstępuje swoim znajomym, albo gra sam w niższych klasach i dopiero w wyższych zbywa bilety, pobierając naturalnie należność całkowitą. Nie przeczymy, że biorąc za ćwiartkę 4 lub 5 rs. zamiast 3, że grając bezpłatnie w niższych klasach, popełnia on nadużycie, ale są w tem matactwie punkty, które niepotrzebnie krwawią nasze serce. I tak, jeżeli Pawłowski w piorunującym liście do *Kuryera* skarży się, że nie dostał biletu na loteryę, bo kolektor sprzedał go wcześniej swojemu kuzynowi Gawłowskiemu, to dla nas powinno być zupełnie obojętnem, kto Fortunę uchwycił za włosek: Pawłowski, czy Gawłowski. Natomiast nieobojętnym jest dla nas widok tłumów, zgromadzonych przed kantorami loteryi i zdobywających bilety siłą. Dwa razy do roku — jeśli nie częściej — spotkać można na ulicach, podwórzach, schodach gromady ludzi najrozmaitszego rodzaju, którzy całemi godzinami wyczekują na losy, biją się o bliższy dostęp, wyważają drzwi, tłuką okna, słowem, podlegają jakiejś furyi gwałtownej, której w nich może nic innego nie zdołałoby wywołać. O co w tej walce chodzi? O nagłe i łatwe zbogacenie się. Gdybyśmy zbadali życie tych roznamiętnionych zapaśników, przekonalibyśmy się niezawodnie, że w niem jest więcej próżniactwa, niż pracy, więcej chęci użycia bez trudu, niż osiągnięcia szczęścia wytrwałym mozołem. To też jakkolwiek szacherki kolektorów są rzeczywiście nadużyciami, wymagającemi ukrócenia, smutniejsze według nas są zacięte walki tłumów o bilety loteryjne i elegie zwyciężonych w tym boju, rozlegające się stale w prasie oraz pełne zgrozy jej ubolewanie nad tem, że losy dostały się w ręce Gawłowskich a nie Pawłowskich. Jakże zmarnowane są te tragiczne miny i rozdarte z boleści szaty! Jakże interes społeczny na tej zamianie nic nie zyskuje i nic nie traci!

O „Kuryer świąteczny.“

Chociaż zatarg między faktycznym i nominalnym redaktorami *Kuryera świątecznego* od kilku tygodni przez prasę i sąd stał się jawnym, nie dotykaliśmy go w nadziei, że się zakończy polubownie. Gdy on jednakże nietylko obiecuje długo zajmować opinię publiczną, ale już spowodował zawieszenie pisma na czas nieokreślony, poświęcimy mu słów parę. Nikt od nas bardziej nie pragnąłby, ażeby osławiona nietrwałość wszelkich spółek polskich przestała wreszcie ilustrować nasze życie; ale zarazem musimy zaznaczyć, że kłótnia powyższa jest nowym dowodem tej zadawnionej ułomności. *Mann* z *bergiem* lub ...*steinem* mogą związać się trwale, ale...*ski* ze ...*skim* lub ...*iczem* bardzo rzadko. To też gdy pp. Łaszczyński i Pląskowski od lat 20 stanowili zgodną spółkę, przytaczano ich jako wzór i jako fakt odpierający niewiarę w nasze rodzime związki. I oto, jak gdyby dla zadośćuczynienia fatalizmowi, długoletnia spółka prysła. Rozbrat ten skrzywdził głównie p. Pląskowskiego, co wynikło z samej natury stosunku. P. Pląskowski bowiem był rzeczywistym wydawcą i redaktorem pisma, p. Łaszczyński zaś nominalnym; pierwszy dźwigał całe brzemię pracy, drugi — pobierał część dochodu za posiadanie koncesyi. Chociaż pierwszy swoją zasługą nabył wszelkich praw moralnych do wydawnictwa, drugi mógł je każdej chwili przekreślić swojem jednem formalnem. I przekreślił. Pewnego dnia oświadczył, że *Kuryera* nie podpisze — i p. Pląskowski pozostał bez gruntu, bez warsztatu pracy, bez możności działania dalej. Broniąc swych pretensyi, wytoczył proces. Nie wchodzimy tu w kwestyę, z czyjej winy sprawa, mająca na celu zbadanie świadków, nie mogła być rozstrzygniętą i musiała być odłożoną. Stwierdzamy tylko fakty, że za idealną uważana spółka dwóch *skich* po długiem trwaniu, jak wiele podobnych, runęła, że p. Łaszczyński, nie przyjmując w piśmie żadnego udziału czynnego, jednem słowem swej samowoli pozbawił spólnika nabytych praw do wydawnictwa i że dzięki temu *Kuryer świąteczny* istnieć przestał. Bo i cóż z tego, gdyby nawet p. Pląskowski sprawę wygrał, jeżeli p. Łaszczyński oświadczy: a jednak ja numeru nie podpiszę. Do tego nikt i nic go nie zmusi. Jest to wypadek pouczający cichych spólników wydawniczo-redaktorskich.

Zasłużony a niepożądany rozgłos.

P. Salerno di Colonna właściciel kilku majątków ziemskich i domów w Warszawie, doczekał się w ostatnich czasach zasłużonego a niepożądanego rozgłosu. Wskutek skarg policyi musiał kilkakrotnie stawać w sądzie za rozmaite oszczędności w utrzymywaniu stróżów i rozmieszczaniu lokalów, nareszcie oszczędność tę posunął do takiego, wielce ryzykownego stopnia, że zbudował sobie całą oficynę z cegły kradzionej u Grancowa. Ile tej cegły było — 10,000 czy 20,000 sztuk — mniejsza; przyjąwszy nawet cyfrę najmniejszą trzeba przyznać, że zdobycie jej drogą, obrażającą kodeks, wymagało wielkiego... talentu. 10,000 sztuk cegieł — to nie drobnostka, która dałaby się schować w jedną lub sto kieszeni. Tu już niezbędna była organizacya i to bardzo pomysłowa. Chociaż pamiętamy kradzieże parkanów, szyn żelaznych, pak z towarami, nie słyszeliśmy, ażeby ktoś nieprawym sposobem zaopatrzył się w materyał budowlany na całą oficynę. Sprawiedliwość jednakże nie chciała uczcić ani tego wielkiego talentu, ani tej wyjątkowej pomysłowości, i pomimo że p. Salerno zapłacił dobrowolnie p. Grancowowi 4,000 rs., urząd prokuratorski nie zakończył z nim rachunków i prowadzi dalej sprawę karną. Co za czasy! Wynajdujesz rzeczywiście coś takiego, czego przedtem wcale nie było, a tu zamiast podziwu grożą ci kozą. Doprawdy nie warto robić wynalazków i czasem lepiej schować swój geniusz pod korzec. Gdyby wynalazek p. Salerny otrzymał prawo swobodnego zastosowania, każdy mógłby sobie zbudować przynajmniej oficynę. A dziś!

Dwie miary.

Któż z nas nie dziwił się bogactwu słownika „sylfów“ i „chochlików“ kuryerowych, wysławiających bale w „lepszej sferze“? Dziwimy się wszyscy. „Boska p. Psik — powiewna p. Prztyk — urocza p.

Fiu — czarująca p. Pstru — niezapomniana p. Łap — odurzająca p. Cap." itd. — oto zaledwie małe próbki tego bogactwa. Wszystko tu śliczne, zachwycające, cudowne. Przyszła myśl kelnerom wyprawić sobie także bal. Posługując przez całe życie, chcieli raz być obsłużeni. Na tej zabawie znalazł się również „chochlik" czy „sylf" pewnego *Kuryera*, który nazajutrz wylał cały potok drwin z uczestników tej zabawy. Wyszydził ich maniery, ruchy, rozmowy, ubrania, bo wszystko raziło jego dostojny słuch i wzrok. Możnaby zapytać, po co ten pan lazł tam, gdzie go nie proszono i gdzie nie spodziewał się znaleźć ani uroczej p. Fiu, ani czarującej p. Pstru, ani wytwornego „flirtu," ani wspaniałych toalet, ani „oblężonego bufetu." Ale lepiej będzie, gdy przytoczymy list jednego z kelnerów, który taką „rewelacyą" odpowiada na ową szykanę:

„Nie wiem, kim jest nasz szan. krytyk, bo się nie podpisał, ale zapewne należy do tych, którym usługiwałem nieraz, gdy jedli kolacye, obstalowane dla nich przez rozmaitych panów, potrzebujących przychylnego słówka w prasie. Miałem więc wiele sposobności przypatrzenia się elegancyi tych „sylfów." Oto np. jeden z nich przed paru tygodniami, fetowany przez kogoś w naszym handlu, tak się urżnął, że spadł pod stół i krzyczał:

— Kochany Behanzinie, królu dahomejski, zrobię, co zechcesz, tylko włóż mi cygaro w usta, bo sam nie mogę.

— Kochany Behanzinie, królu dahomejski, zrobię, co zechcesz, tylko odepnij mi prawą szelkę.

— Kochany Behanzinie, wlej mi kroplę likieru w usta.

— Niech żyje król dahomejski i jego amazonki.

Gdybym ja nazajutrz opisał tę zabawę, publiczność uśmiałaby się bardziej, niż z naszego balu kelnerskiego. Czemuż więc jej tej uciechy odmówiono."

Wniosek: zwłaszcza „sylfy" i „chochliki" nie powinni szydzić z kelnerów, bo ci są posiadaczami ich najdrażliwszych tajemnic. Gdyby te wywołane z lasu wilki chciały opowiedzieć, jak to się bawią pogromcy pijanych chłopów i rzemieślników, stróże ognisk rodzinnych, czciciele wstrzemięźliwości i piastunowie cnót wszelakich, kiedy biesiadują z Behanzinami lub amazonkami... Och, och!

Leon Konitz.

Warszawskie Towarzystwo lekarskie uczciło dyplomem członka honorowego 50-letnią pracę człowieka, który ze wszech miar na to odznaczenie zasłużył. Dr. Konitz bowiem był nietylko znakomitym lekarzem, ale wysokiej zacności człowiekiem. Po skończeniu gimnazyum w Warszawie a uniwersytetu w Berlinie (1843), po odbyciu gruntownych studyów na klinikach zagranicznych, osiadł (1850) w naszem mieście, gdzie szybko zdobył sobie szeroką praktykę i sławę ginekologa. Należy on nietylko z wieku i stosunków, ale — że tak powiemy — z kroju umysłu i czystości charakteru do tej konstelacyi naszych starych, dzielnym umysłem i gorącem sercem obdarzonych lekarzy praktycznych, śród których jako gwiazda pierwszej wielkości świecił niezapomniany Chałubiński. Dr. Konitz przeżył swego genialnego przyjaciela i dotąd cieszy się czerstwem zdrowiem, chociaż pracę swoją już ograniczył. W uroczystej dla niego chwili do zaszczytu i pozdrowień, wyrażonych mu przez Towarzystwo lekarskie, dołączamy nasze uczucia i słowa głębokiego szacunku i serdecznych życzeń.

Przytułek dla rzemieślników.

Jeszcze r. 1892 w pierwszym okresie istnienia sekcyi rzemieślniczej na jednem z posiedzeń poruszono projekt założenia domu dla schorzałych i zniedołężniałych pracowników. Myśl tę, naszkicowaną przez p. M. Kłyszewskiego, przyjęto jednogłośnie z wielkim zapałem a kilkakrotnie potem roztrząsanie owego przedmiotu świadczyło o jego żywotności. Na nieszczęście, sekcya zapadła potem w długotrwały letarg skutkiem niesnasek wewnętrznych, więc i projekt pogrzebano na dnie drobiazgów życiowych. Obecnie wraz z ponownem roznieceniem ogniska spraw rzemieślniczych, przytułek znowu wszedł na porządek dzienny i już się zaczyna realnie zarysowywać. Delegacya, wybrana w tym celu, wynalazła plac odpowiedni na Pradze, plany zaś budynku wkrótce po wykonaniu będą przesłane władzy do zatwierdzenia. Nadto, popłynęły już ofiary od przedsiębiorców; mianowicie, na urządzenie zakładu złożyli pp.: Aleksander Temler 3000 rs. Julian Fraget i Ludwik Norblin 2000, Teodor Werner 1500 i po rs. 500: Jan Szlenker, Haberbusch i Schiele i Władysław Czosnowski; po rs. 300 Karol Machleid, Stanisław Frölich, Borman Szwede i S-ka po rs. 200: Z. Jungowa, E. Reych, A. Hoch; po rs. 100: H. Kamiński, bracia Geislerowie, W. Weigle, W. Bieńkowski, S. Jung, Emil Wedel, bracia Reychowie, Zgromadzenie majstrów mularskich, M. Kartens, T. Talikowski. Prócz tego wielu innych złożyło po rs. 50, 25, 15 i 10. Tym sposobem znaczniejsze ofiary tworzą na początek, kapitał rs. 10,500, co już daje wszelką rękojmię szybkiego wprowadzenia projektu w czyn. Naturalnie, dziesięć a nawet piętnaście tysięcy, to jeszcze nie jest fundusz, jakiby pozwalał wznieść gmach wygodny i obszerny tudzież zapewnić utrzymanie inwalidom. Ale są to przecież pierwsze kroki; pobudzą one innych przemysłowców do zabezpieczenia starości tym, którzy w okresie zdrowia i sił przyczynili się do powodzenia materyalnego swych pracobiorców. Warszawa liczy $5\frac{1}{2}$ tysięcy majstrów około 32,000 czeladników i niespełna 60,000 terminatorów, ogółem około 97,000 ludzi, obsługujących warsztaty rzemieślnicze. Tak pokaźna liczba musi mieścić znaczny procent takich, którzy już swe siły stargali zupełnie w pracy. Utrzymanie więc ich wraz ze wzniesieniem budynków pochłonie znaczne sumy. W Petersburgu tego rodzaju zakład, utrzymywany wyłącznie przez rzemieślników, mieści 300 inwalidów, z budżetem przeszło 30,000 rs. rocznie, czyli 100 rs. na głowę; jak na utrzymanie całoroczne, suma dość skromna, a jednak w ogóle znaczna. U nas zapewne niemniej znajdzie się kandydatów do schronienia, a koszt również mniejszy nie będzie. Z tego względu należałoby wybrać takie miejsce, gdzie plac i wogóle warunki utrzymania byłyby możliwie najtańsze. Ktoś wkrótce po zrodzeniu się projektu doradzał, aby ze względu na oszczędność wznieść zakład na wsi. Myśl istotnie bardzo praktyczna; szkoda tylko, że interesowani nie zwrócili na nią uwagi. Nie tylko bowiem utrzymanie byłoby tańsze, ale i strona hygieniczna zyskałaby na tem wiele. Okolice Warszawy posiadają mnóstwo miejsc odpowiednich dla wybudowania przytułku i połączonych wygodną komunikacyą z miastem. *Zn.*

Kolonie letnie.

Nie drzemią przewodnicy tej instytucyi pożytecznej. Pomimo, że do lata dość jeszcze daleko, czynności przygotowawcze są już wielce ożywione a zainteresowanie ogólne dość znaczne, o czem świadczą ofiary. Właściciele zakładów garbarskich, majstrowie szewccy dostarczają materyałów na obuwie, wielkie zaś firmy przemysłowe i handlowe w Łodzi i Warszawie otworzyły kredyt i ofiarowały znaczne ustępstwo w cenach od towarów, przeznaczonych na potrzeby dziatwy. Właściciele papierni w Jeziornie dali potrzebną ilość materyału na druki i karty, drukarnia Kowalewskiego niesie również swe usługi; ktoś dostarczył słomy na kapelusze, wreszcie pp. Jan Bloch i Feliks hr. Sobański w swoich dobrach otwierają gościnność dla małych „letników." Po za tem wszystkiem płyną ofiary pieniężne. Stworzono już biuro, którego zadaniem jest wstępny zapis kandydatów i podział gromadek odpowiednio do zdrowia i miejsc pobytu. Obejrzenia około 2000 ubogich słabowitych dzieci dokona dwunastu lekarzy, przy pomocy uczestniczek komitetu. Wszyscy lekarze warszawscy otrzymali już odezwę z zapytaniem, czy zechcą przyjmować u siebie dzieci dla zbadania ich organizmu i, stosownie do stanu zdrowa — przeznaczenia do Ciechocinka lub na wieś. Wobec tego ruchu w porze jeszcze dość wczesnej, trzeba przyznać, że komitet szczerze jest oddany swemu obowiązkowi i że umie zjednywać miłosierdzie publiczne z wielkiem powodzeniem bez balów, rautów i koncertów. Zysk stąd oczywisty i podwójny; przewodnicy kolonii nie tracą daremnie drogiego czasu na kłopotliwą organizacyę zabaw i — zamiast skromnych odsetek, otrzymują cały kapitał swych zabiegów. Do zdobycia tej formy uznania i poparcia komitet doszedł przez kilkoletnie mozolne doświadczenie. Niech to będzie wskazówką dla innych objawów ruchu filantropijnego. *Z.*

W DALI.

Kijów, 10 stycznia.

Wybory. — Nowa rada. — Ewolucya potwarzy. — Kijowska kanalizacya i twórcy towarzystwa kanalizacyjnego. — Tryumf potwarzy.

Wybory do rady miejskiej, o których pisałem w poprzednim liście, są już dziś na ukończeniu. Maluczko, a nowy zarząd zasiądzie w wielkiej sali brzydkiego, choć wiele pieniędzy kosztował, gmachu miejskiego i rozpocznie działać ku pożytkowi i wzrostowi Włodzimierzowego grodu. Wybrano już 71 radnych i — o niewdzięczności ludzka! — w tej liczbie tylko 19 wchodzących do składu poprzedniej dumy, których zasługi podnosiłem w moim pierwszym liście. Ow wielki mąż, jakim jest opinia miasta, okazał się surowszym sędzią, niż ja, usunął dawną rządzącą partyę i powołał do steru opozycyę. Mówiąc nawiasem, ów wielki mąż, któremu się przyglądałem podczas wyborów, wydaje mi się nie mniejszym głupcem, a zręczni ludziska wywiedli go w pole.

Rzecz dziwna, podczas wyborów człowiek cichy, niemający wrogów, ale również zasług, bierze górę nad człowiekiem czynu; kaptowanie ludzi „papką" popłaca zawsze, a nadewszystko działa skutecznie puszczona umiejętnie potwarz, o której święte słowa śpiewa don Basilio w „Cyruliku sewilskim." Zrazu ona pełza, jest mała, cicha, później rośnie, rośnie, staje się wielką, straszną i wreszcie jak bomba pęka.

Działo się tak i u nas. Na dawną radę miejską rzucono potwarz. W zeszłym roku, gdy świat był jeszcze pod wrażeniem procesu panamskiego, powiedział ktoś z cicha: „my także mamy własną Panamę" — i wskazał kanalizacyę. Trzy czy cztery lata temu ukazały się w Kijowie dwie osobistości: inżenier Sablin i kupiec Bałkin. Pierwszy robił pomiary, rysunki, coś kreślił, liczył, drugi szukał stosunków w świecie finansowym. Wreszcie Sablin wystąpił z nader śmiałym i oryginalnym planem kanalizacyi kijowskiej, Bałkin zaś po wielu zabiegach uzyskał koncesyę na jej budowę i podpisał kontrakt z miastem. Obaj panowie nie mieli kapitału, bez któ-

rego koncesya zostawała arkuszem papieru. Jeli się tedy umizgać do kapitalistów zagranicznych, lecz ci nie chcieli umieszczać swych pieniędzy w przedsiębiorstwie kijowskiem; zwrócili się więc do kapitalistów miejscowych, lecz również daremnie. Położenie było bez wyjścia: według kontraktu, po pewnym czasie gdyby Bałkin do budowy kanalizacyi nie przystąpił, koncesya traciła znaczenie i projekt miał przejść na własność miasta. W takiej to chwili pewien z radnych dawnej dumy zaproponował utworzenie towarzystwa akcyjnego z drobnych kapitalistów, obywateli Kijowa. Obliczył, że jeżeli każdy z nich weźmie po jednej lub dwie akcye — fundusz potrzebny zostanie zebrany. Plan był śmiały: trzeba było upewnić właścicieli domów, że budowa kanalizacyi będzie dla nich korzystną, że im znacznie oszczędzi wydatków na oczyszczanie posesyi itd. W tym celu należało zyskać poparcie prasy, rady miejskiej i towarzystwa kupieckiego, aby uczynić projekt popularnym. Lepsze czynniki społeczeństwa zbyt dobrze pojmowały, o ile kanalizacya jest dla miasta pożyteczną. Rok temu zostało utworzone jedyne w swoim rodzaju towarzystwo, którego akcye nie zostały wywiezione za granicę, ani dostały się w ręce kilku wielkich społecznych kapitalistów, ale pozostały na miejscu i posiadaczami ich są obywatele miasta, drobni kapitaliści, drobni przemysłowcy itd.

Jeszcze nie rozpoczęto robót, a już potwarz rosła: ten i ów bąkał o Panamie, krążyły pogłoski, że projekt kanalizacyi nic nie wart, że miasto i akcyonaryusze zostali oszukani, że rada miejska przekupiona... Panama! Towarzystwo techniczne, które ze względów czysto naukowych zajęło się rozbiorem projektu i naturalnie znalazło w nim pewne usterki, dolało oliwy do ognia. Zapalony ogrodnik, który radby — w teoryi rzecz prosta — przerabiać wszelkie nieczystości na komposty, wystąpił gorąco przeciw kanalizacyi i w zasadzie potwarz dalej rosła, rosła... W pismach petersburskich zaczęły się ukazywać korespondencye, bijące na trwogę, aż w *Now. Wrem.* zjawił się artykuł zatytułowany: „Kijowska Panama.“ Dziś kwestya została dostatecznie wyjaśnioną; gdyby nawet projekt kanalizacyi był niemożliwy do uskutecznienia, gdyby nawet założyciele towarzystwa pobrali pewien procent od kapitału zakładowego jako swoje komisowe, to w każdym razie przypuszczać przekupstwo rady miejskiej nie ma najmniejszej zasady, chociażby dlatego, że usługi jej, oddane towarzystwu, grały właściwie dość podrzędną rolę. Ale potwarz rosła, a podczas wyborów, jak bomba pękła, zmiatając z widowni $^2/_3$ dawnej rady. „Kradli — brali — przekupstwo — panama!“ krzyczano przez kilka miesięcy. Dawna opozycya, przeciwna kanalizacyi, umiała skorzystać z potwarzy, tem bardziej, że o dowody nikt nie pytał. Wyborcy dali się prowadzić na pasku, atoli i prasa, założyciele i dyrektorowie towarzystwa kanalizacyi, którzy najbardziej się przyczynili do jego utworzenia: prof. Afanasjew, adwokat Ołtarzewski i syndyk kupców Czokołow, do rady wybrani zostali ogromną większością, zmiecione zostały figury drugorzędne i ludzie, którzy najmniejszego udziału w tej sprawie nie mieli a potwarz względem nich na niczem opartą nie była, choć z dziwną zawziętością ich prześladowała. Kijów wstępuje w nową fazę istnienia.

C—owski.

Piotrków. Tak zwana inteligencya miejscowa ogromnie się oburza na rzemieślników za to, że w życiu towarzyskiem biorą się nie „do swego,“ tj. do przedstawień amatorskich. „Odrywa to ich od warsztatów i naraża na nieodpowiednie a bezpotrzebne wydatki.“ Jacy litościwi ci panowie z „lepszego towarzystwa“! — Sprawa oświetlenia miasta elektrycznością żywo zajmuje umysły mieszkańców. *Tydzień* przewiduje, iż to nastąpi szybko. — Według sprawozdania kasy pożyczkowo-wkładowej urzędników miejscowego sądu okręgowego, w ciągu roku wydano pożyczek rs. 54,704, zwrócono 55,512 k. 79. Dnia 1 stycznia r. b. pozostawało na pożyczkach rs. 17,782 k. 52. Uczestników do końca roku było 130. — Korespondent *Tygodnia* z Będzina narzeka na wadliwość pomocy lekarskiej w zakładach fabrycznych. „Żony naszych robotników, chociaż faktycznie mają zapewnioną bezpłatną pomoc lekarską, wyczekują z chorobami do ostatniej chwili, a cóż dopiero, gdy muszą zapłacić i w dodatku lekarstwo kupić.“ Punkt ustawy co do leczenia członków rodziny robotniczej nie jest dopełniony, a tymczasem, jak zapewnia korespondent, o wiele więcej jest chorych w rodzinie, niż śród ich opiekunów.

Dąbrowa Górnicza. Ruch przemysłowy w ostatnich czasach znacznie się ożywił. Zamówienia napływają ze wszystkich stron do Huty bankowej; zarząd budowy kolei syberyjskiej porozumiewa się z nią o dostawę szyn. Huta żelazna w Sielcu również pomyślnie produkcyę swą rozwija. Przemysłowcy tamtejsi zaniepokojeni są wszakże prawdopodobieństwem zniżenia cła od żelaza. Byłoby im trudno współzawodniczyć z żelazem pruskiem. — Wskutek przyrostu ludności robotniczej w Sielcu, drożyzna coraz dotkliwsza; ceny mieszkań są wyższe, niż w Warszawie. Lokal z dwóch malutkich pokoików i kuchni kosztuje 200—250 rs. rocznie. Pomimo napływu ludności i wielkiego popytu na mieszkania, ruch budowlany bardzo słaby.

Radom. Jedna ze specyalistek otwiera tu szkołę koszykarską dla dziewcząt wiejskich. Podobno fundusze na ten cel są już zapewnione.— Wysokie ceny drzewa skutkiem wyniszczenia lasów, pobudzają ludność do szukania innego paliwa. Skorzystał z tego właściciel majątku Rożki i zaczął wydobywać torf, najpierw dla własnego użytku, potem dla włościan okolicznych. Według zapewnień *Gazety* miejscowej, przedsiębiorca ten pragnie urządzić sprzedaż torfu w samym Radomiu, co dla ludności ubogiej byłoby wielką ulgą. — Cholera w Szydłowcu słabnie coraz bardziej.

Moskwa. Dnia 24 stycznia r. b. zjazd lekarzy i przyrodników zakończył swe prace, a były one dość uciążliwe, gdyż odczytano aż 364 referaty. Między innemi zjazd zalecił komitetowi wykonawczemu wnieść podanie do warszawskiego generał-gubernatora, kuratora okręgu naukowego i ministra dóbr państwa z prośbą o udzielenie pomocy dla Królestwa Polskiego w urządzaniu sieci meteorologicznych, stacyj rolniczych, tudzież punktów obserwacyjnych burz, deszczów itd. Ważne jest również postanowienie wyjednania ulg w cenach spirytusu (bez opłaty akcyzy) dla laboratoryów i muzeów uniwersyteckich. Prócz tego postanowiono czynić następujące starania: wyjednanie zapomogi rządowej dla ruskich towarzystw matematycznych, poprawienie stanu materyalnego stacyj meteorologicznych; założenie ruskiego Towarzystwa meteorologicznego; spieszniejsze wprowadzenie systemu kartkowego przy gromadzeniu danych o ruchu ludności. Polecono wreszcie specyalnemu komitetowi opracować projekt związku uczonych ruskich do 13 listopada r. b., a w styczniu 1895 wezwać do Moskwy oddzielny zjazd redakcyjny dla zatwierdzenia projektu. W sekcyi hygienicznej zaprojektowano określić za pośrednictwem fotometrów Webera niezbędną ilość światła w zakładach naukowych. W sekcyi statystycznej odczytano referat, dowodzący, że z powodu szybkiego wzrostu ludności w Stanach Zjednoczonych, w końcu bieżącego wieku dla samej Ameryki zabraknie zboża. W Rosyi należy skorzystać z tej chwili i zawczasu zdobyć główne rynki.

Wilno. Kupcy zbożowi w znacznej liczbie przenoszą się do gub. południowych i południowo-zachodnich, gdzie panuje ożywiony handel z Austryą. — Masa spadkowa po zmarłym hr. Józefie Tyszkiewiczu wynosi około sześciu milionów rubli. Są to przeważnie dobra ziemskie, rodowe i nabyte, leżą nad Niemnem i Willą. Spadkobiercy: pięciu synów i trzy córki. — W Wiszowie (gub. grodzień k) w dobrach p. Konstantego Gnoińskiego, zawiązuje się nowe towarzystwo wyścigowe. Na czele, jako prezes, staje ks. Gagaryn, zarządzający stadniną skarbową okręgu wileńskiego. Pierwsze gonitwy zapowiedziano na lipiec r. b.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Zjazdy górnicze. Przed paru tygodniami zatwierdzono nowy organ sterniczy dla górnictwa Królestwa Polskiego. Oto są jego zadania: 1) Starać się u rządu o zaspokajanie wszelkich potrzeb górnictwa krajowego, szczególnie wynikających z uchwał zjazdu. 2) Być przedstawicielem tej gałęzi produkcyi tutejszej w ministeryum dóbr państwa i porozumiewać się z władzami. 3) Wyjednywać prawidłowe taryfy na przewóz produktów górnictwa. 4) Prowadzić statystykę przemysłu górniczego i prace w tym zakresie napisane drukiem ogłaszać. 5) Uczestniczyć w komisyach rządowych, o ile one dotyczą przemysłu górniczego w Królestwie Polskiem. 6) Zarządzać funduszami zjazdu. 7) Zwoływać w razie potrzeby zjazdy nadzwyczajne. 8) Układać listę członków i omawiać wytwórczość roczną każdego z uczestników dla obliczania głosów dodatkowych. 9) Przyjmować i roztrząsać wnioski, nadsyłane do zjazdu. 10) Zdawać szczegółowe sprawozdanie z działalności wobec zjazdu. Zatwierdzono również statut zjazdów górniczych w Królestwie Polskiem. Będą one stale co trzy lata zwoływane w Warszawie; w razie zaś pilnych spraw, rada górnicza ma prawo zwołać zjazd nadzwyczajny. Zasadnicza działalność tych zjazdów: prowadzenie statystyki przemysłu górniczego za każdy okres trzyletni; załatwianie wspólnych spraw gospodarczych i administracyjnych; regulowanie kwestyj, dotyczących taryf przewozowych; rozstrzyganie wszelkich spraw, obchodzących górnictwo krajowe i wreszcie wyjednywanie u rządu i rozmaitych instytucyj — ulg tudzież ułatwień, zmierzających do rozwoju przemysłu górniczego. Biuro rady górniczej w Dąbrowie; członkami jej do najbliższego zjazdu są pp.: Cichowski ze Skórnik, Strassburger, dyrektor kopalń Towarzystwa warszawskiego, Mauve, pełnomocnik hr. Renarda, Surzycki, dyrektor kopalń Towarzystwa sosnowickiego i Witwicki ż Bliżyna. Przedstawicielem interesów górniczych Królestwa Polskiego w Petersburgu jest p. Harting, dyrektor Huty bankowej.

— Dotąd mączka cukrowa, wytwarzana wewnątrz państwa, szła na rynki obce głównie przez zachodnią granicę lądową i przez Odesę. Otóż nadal, aby wytwórcom wewnętrznym ułatwić zdobycie rynków na północy Europy, ministeryum komunikacyi w porozumieniu z ministeryum skarbu opracowało plan taryf, ułatwiających wywóz mączki cukrowej przez Rygę i Libawę do Londynu, Hall, Antwerpii, Hawru, Hamburga, Kopenhagi i Lubeki. Jednocześnie ułożono taryfę dla transportów, idących w komunikacyi bezpośredniej przez powyżej wymienione porty baltyckie.

— Ministeryum dóbr państwa wysyła do Francyi i innych krajów agronomów doświadczonych tudzież inspektorów gospodarstwa wiejskiego, dla zbadania na miejscu sprawy syndykatów rolniczych.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Według wiadomości, zebranych przez centralny komitet statystyczny, liczba mężczyzn, nie umiejących w 20-ym roku życia czytać i pisać, wynosi w guberniach Rosyi europejskiej (z wyjątkiem Finlandyi, Królestwa Polskiego, prowincyi nadbaltyckich, Kaukazu północnego i południowego) 70,5%, kobiet zaś w tymże wieku 95,5%. W Królestwie Pol-

skiem analfabetów mężczyzn 82,3%, kobiet — 91,6%; w prowincyach nadbałtyckich; pierwszych 7,4%, drugich 7,8%.

— Na wiosnę rozpocznie się urządzanie stacyi meteorologicznych na kolejach rządowych dla badania wpływu burz, wichrów i osadów atmosferycznych na drogi żelazne.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę Towarzystwa dobroczynności przy parafii katolickiej w Pskowie.

— Sąd karny we Lwowie skazał lichwiarza Szmula Rothberga z Uhnowa na pięć miesięcy więzienia i grzywny 200 zlr. tudzież unieważnił wszystkie jego umowy z włościanami, którym pożyczał na 100—200%.

Szkoły. Akademia wojenno-lekarska podniosła sprawę, jakie braki fizyczne mogą być uważane za przeszkodę w spełnianiu obowiązków lekarza, a więc, w przyjęciu do Akademii. Jedną z takich wad jest jąkanie się.

— Zwrócono uwagę na konieczność wynalezienia funduszów dla powiększenia liczby szkół w guberniach, nie posiadających organizacyi ziemskiej.

— Zatwierdzono powiększenie kompletu studentów o 15-tu w warszawskim Instytucie weterynaryjnym (w ciągu trzech lat po pięciu).

Zdrowie publiczne. Według sprawozdania urzędowego, w osadzie Kowal pow. włocławskim, od 18 do 20 stycznia zapadło na cholerę 12 osób, zmarło 7, pozostało w szpitalu 5. Cholera w Nowomińsku ustała.

Dobroczynność. Od r. 1890 podatek t. zw. szpitalny obowiązuje całe Królestwo Polskie. Ze źródła tego korzystają dwa zakłady: dom podrzutków otrzymuje rs. 125,000 i szpital obłąkanych w Tworkach rs. 118,000.

Sprawy kolejowe. Ruch na dystansie odnóg nowosielickich Floreszty-Rybnica otwarty będzie w maju.

— Postanowiono zbudować koleje z Finlandyi do brzegu Murmańskiego, od Wołgi do Dźwiny północnej, albo wreszcie z Petersburga do Archangielska.

Zmarli. Teodor Billroth w Abbazii, najsłynniejszy chirurg współczesny, profesor wiedeński. Katedra jego i klinika gromadziły młodzież z całego świata. Napisał wiele dzieł specyalnych.

— Prof. August Hirsch, w Berlinie, znany jako badacz chorób zaraźliwych i historyk lekarski. Był profesorem patologii specyalnej i terapii przy uniwersytecie berlińskim.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu W. Kl. I wstyd i wstręt nie pozwalają nam dalej rozrabiać tego kolosalnego głupstwa. Trzeba odpocząć w tej pracy.

I. M. Autorką jest kobieta a poprzedniego obrazka — mężczyzna.

Interesowanej M. F. w Radomiu. Więcej nad to, co na podstawie doniesień prasy ruskiej powiedzieliśmy, nie wiemy. Zapytamy o szczegóły jednego z naszych współpracowników petersburskich.

L. K. Tomik odebraliśmy — ocena pomieszczona być nie mogła. Załączony wiersz nie posiada wartości artystycznej.

Panu J. Rz. w Dziat. To znaczy: polemika z tem pismem. Wystarczy troszeczkę domyślności.

E. G. Tak ważnego zagadnienia nie można rozstrzygać w publicznym artykuliku. Zresztą przedmiot ten pismo nasze rozjaśniało już wielokrotnie i wyczerpująco.

L. P. Nie ma takiego, które Pan mógłby abonować.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 28 Января 1894 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.